Nr. 41. Poznań, Niedziela 13. października 1895 r. Rok II.

# PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański" wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Ul. św. Marcina 22, II.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi w Poznaniu 4 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), w Niemczech i Austryi 5 Mr. (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 Mr. Prenumeratę przyjmują: Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 40 fen. pod opaską 45 fen.

TREŚĆ.



## Nowe ministeryum Austryi.

Wiedeń, 9-go października.

Po upadku koalicyi, która w bardzo krótkim czasie swego istnienia spowodowała niezliczone niechęci, a pozostawiła chaos i egoistyczne dążności każdej partyi z osobna, nastąpiło prowizoryczne ministeryum z Kielmansegiem na czele, które uregulowało prowizoryczny budżet i... spadło z etatu. Austryackie stosunki parlamentarne, a na to zgadzają się partye wszystkich odcieni, są rzeczywiście tak rozluźnione, że trzebaby chyba jakiejś przyczyny z zewnątrz państwa, aby wywołać zestawienie się w karne szeregi wspólnej pracy i celu tych, dla których interesy całości państwowej nie przedstawiają dziś żadnego znaczenia. Rzymianie, nawet w czasach najbardziej demokratycznych swego rządu, oddawali jego władzę w ręce dyktatora, jeżeli wywołane różnemi przyczynami okoliczności tego koniecznie wymagały. W Austryi właśnie taka chwila nadeszła, a chociaż hrabia Badeni nie został mianowany dyktatorem, to przecież dyktatorską spełniać będzie władzę! „Silną ręką" ma on chwycić w ten panujący obecnie zamęt partyjny, aby stworzyć porządek i rozleciałe części złączyć i popchnąć w jeden kierunek i do jednego celu. Czy mu się to uda, jest kwestyą czasu, a w jaki to sposób uczyni — tajemnicą. Rozliczne głosy o systemie rządzenia nowego prezesa ministrów powiadają, że hr. Badeni będzie rządził po „austryacku", a jeden z nowo mianowanych ministrów, hr. Ledebur, broniąc w swoim czasie koalicyi, powiedział wówczas także, że Austrya musi być tylko po „austryacku" rządzoną! Radzibyśmy jednak poznać definicyę pojęcia tego. Co to jest austryackie rządzenie? Czy jest rząd w Austryi, któryby mógł lub chciał poprzedniemu zarzucić, że *nie rządził* po austryacku? Hr. Taaffe, którego polityka ugodowa uznawaną była przeszło dziesięć lat jako ekstrakt prawdziwego austryacyzmu — upadł w chwili, kiedy podał projekt reformy wyborczej cesarską łaską usankcyonowany; koalicya, która w połączeniu trzech największych stronnictw starała się utworzyć prawdziwy mikrokosmos austryacyzmu, rozbitą została wewnętrznemi przyczynami, a obecnie przychodzi hrabia Badeni, aby wszystkie istniejące dolegliwości owym uniwersalnym środkiem „austryacyzmu" wyleczyć i zniszczyć. Gdzież jest prawda, gdzież jest ten „prawdziwy austryacyzm?" Pojęcie to musi być już raz określone, aby połączyć w sobie wszystkie kierunki w państwowym organizmie Austryi istniejące — ale któż odnajdzie ten rzeczywiście skuteczny na to środek? Hr. Badeni jest w obecnym stanie politykiem zupełnie empirycznym. Nie wyjawia nam definicyi prawdziwego austryacyzmu, ale ma nadzieję, że ciężkie zadanie rządu empirycznie rozwiąże. Otoczony więc jest tajemnicą rząd nowego ministeryum, a wszelkie chęci rozjaśnienia tej tajemnicy bądź to ze strony dziennikarskiej, bądź też ze strony istniejących w państwie partyi, uważane są przez hrabiego Badeniego za „niepotrzebne komentarze" do tego, co nie było jeszcze wypowiedziane. Przynajmniej w ten sposób odzywał się hr. Badeni na zgromadzeniu wyborców z większej własności w Krakowie. To skarcenie wytłomaczonej zresztą ciekawości, jest bardzo charakterystycznem dla męża powołanego do nadania pewnego toru wykolejonemu parlamentowi. Nie można wątpić o tem, że przy obejmowaniu stanowiska, wymagającego tak wielkiej odpowiedzialności, człowiek ten ma bardzo daleko sięgające zamiary, ale szczegóły tych zamiarów troskliwie ukrywa. Wie on doskonale o tem, że plan operacyjny, któryby widocznym był jak figury na szachownicy, wywołałby przeciwdziałanie, a tego jako polityk niechce i unika przedewszystkiem — interwieweurów. Nowy prezes gabinetu pragnie zaskoczyć niespodzianie każdą partyę z osobna i wszystkim razem dać wielkiego mata.

Pewne małe zaznaczenie swego przyszłego kierunku rządzenia Austryą, podał hr. Badeni w słowach, jakiemi się powołał na swoją przeszłość. Mają one być niejako kluczem do rozwiązania tajemnicy. Na zgromadzeniu w Krakowie odwołał się na odręczne pismo cesarza, przepełnione rzeczywiście wyrazami nadzwyczajnej miłości dla Galicyi i wyrazami uznania dla jej byłego namiestnika nietylko za służenie dobru powierzonego mu kraju, ale tem samem służenie dobru całego państwa. W piśmie tem zwraca cesarz uwagę we wdzięcznych i gorących słowach na pełen ofiarności patryotyzm Galicyi, w którym dobro państwa i jego obrona zawsze pewną i silną znajdują podporę. Powołanie się więc na to pismo ma oznaczać, że hrabia Badeni swój sposób rządzenia Galicyą zastosuje do rządzenia całem państwem. Czy sposób ten da się przenieść z małego kraju na całe cesarstwo, trudno na razie przesądzać. Pamiętajmy jednak o tem, że w monarchii austryackiej mieszka dziewiętnaście narodów, tylomaż mówiących językami; że każdy z nich posiada swoje autonomiczne prawa, tradycye i nadzieje i że w każdym z nich są różne partye, każda po swojemu rządzić pragnąca i każda w inny sposób „zbawiająca" swoje narodowe społeczeństwo. Sposób rządzenia krajem dwunarodowym jak Galicya, może był dobrym, ale czy dobrym będzie dla państwa o dziewiętnastu narodach?...

Jeżeli więc rządy austryackie identyczne będą z rządami polskiemi, — rozumie się nowopolskiemi, — to mogłaby się empiryczna przyprawa takiego rządzenia niekoniecznie udać.

W wywodach tych starałem się wykazać niektóre trudności jakie hr. Badeni w chwili obejmowania steru państwa napotyka. Ponieważ niewiem, na których drogach szukać będzie sposobów do ich usunięcia, nie mogę mieć też żadnego dokładnego przekonania, czy nowemu prezesowi gabinetu poszczęści się to wielkie zadanie, które bądź co bądź podjął z wielkiem patryotycznem poświęceniem. Do przyjętego obowiązku wnosi on jednak coś, co jest bardzo rzeczą ważną: siłę i wiarę w siebie samego. A ciężkie sprawy zwycięża już często wiara w możliwość ich zwyciężenia. Hrabia Badeni w przemówieniu swojem do urzędników ministeryum spraw wewnętrznych zaznaczył z możliwie największym naciskiem, że prowadzenie polityki sobie tylko zatrzymuje, a to jest wielkie i jasne wypowiedzenie. Na samym wstępie rządów nowego ministeryum leży przeszkoda, którą potrzeba wziąć od razu bardzo śmiałym rzutem: Reforma wyborów. Sprawa ta musi być rozwiązaną jak najspieszniej i możliwie jak najbardziej sprawiedliwie. Tylko przez taką reformę wyborów prowadzi droga do uspokojenia i na tej drodze stworzyć tylko można system pewnego i racyonalnego rządzenia wszystkiemi narodami, monarchię Austryi składającemi. Wtenczas dopiero można będzie na drodze empirycznej rozwiązać to zagadnienie, przy którem tyle już rządów austryackich upadło. *Xi.*

## POLITYKA.

### Strach paniczny.

„Wszystko, co jest, jest rozumnem", powiedział jeden z najgłębszych filozofów i w maksymie tej tkwi bezsprzecznie głęboka myśl.

Jednakże częstokroć, kiedy patrzymy na targowisko ludzkich zabiegów, wielkiej trzeba zaiste uwagi, żeby uchwycić nić mogącą wywieść z labiryntu i uwydatnić logiczne przyczyn i skutków wiązanie.

Oto obrazek: Pan Wilhelm von Hammerstein, jeden z „najszlachetniejszych narodu“, wódz partyi, która bezustannie powoływać się lubi na honor szlachecki, na wierność niewzruszoną, na czystość swego sztandaru, kradnie pieniądze, fałszuje weksel, okrada w końcu swoich wierzycieli i najspokojniej buja sobie po świecie. Prokurator wtedy dopiero wkracza, gdy skandal stał się tak jawnym, że wróble na dachu o nim już świergocą. Czyżby prokuratorya pruska już zatraciła swoją „ciętość“? O, nie, jednocześnie pakuje ona po kolei kilku redaktorów pism robotniczych do więzienia, konfiskuje kilka gazet, przyczem niekiedy rumienić się musi i po krótkim czasie zabrane numery zwraca nakładcom. W domu bożym pojawia się napis skandaliczny, obrażający uczucia przyzwoitości, — czyż wobec tego opinia publiczna wybucha oburzeniem? Nie! „opinia publiczna“ uważa za stosowne pienić się złością i oburzeniem na — wykrywców tej niemiłej historyjki. Pan pastor Stöcker pisze do swego serdecznego przyjaciela listy, w których doradza politykę kłamstwa, obłudy, intrygi poniżającej. Pan pastor zatem stał się niemożliwym w oczach wszystkich porządnych ludzi? Nie, pan pastor Stöcker tłomaczy się podług znanej modły: „Mówią, że ja jestem niegodziwięc, ale ci, co tak mówią, w Pana Boga nie wierzą! Ot co!“ A potem jedzie na zjazd pastorów i prawi kazanie o wieczności, o cnocie, o czystości chrześciańskiej. Więc złodziejstwo nie nazywa się więcej złodziejstwem, więc podstęp bezczelny uchodzi ludziom w sukience chrystusowej, więc obrażanie przyzwoitości, zakłócanie spokoju publicznego ocenia się zależnie od tego, czy sprawa należy do tego czy do owego stronnictwa. Więc gdzie tu rozum? Owszem, to jest bardzo rozumne. To właśnie świadczy o tem, że istnieje jakaś siła wyższa, która sprowadziła ten zamęt. „Wszystko, co jest, jest rozumne“, to znaczy: wszystko co jest, jest nieuniknionym skutkiem pewnej przyczyny. Otóż zamęt, jaki powstał w dzisiejszej świadomości moralnej na polu politycznem, jest skutkiem strachu, panicznego strachu.

Paniczny strach! to dowcipne pojęcie zawdzięczamy obserwacyi Greków. Po łące kwiecistej chodzi stado baranów i szczypie sobie trawkę, w tem stado przelęknione zrywa się, ucieka, biegnie rozszalałe, dopóki biedne barany nie wpadną w przepaść, lub łbów nie rozbiją o skały, lub marnie poduszą się w błotnem trzęsawisku. Przestrach ogarnął zarówno pasterzy i biegną na złamanie karku. Cóż się stało? Niewiadomo dokładnie, — czegoś się przestraszono. To „Pan“. bożek lasów, w wybryku dzikiego humoru zabawę sobie urządził. — Wojsko zwykłe zwycięskie szło na wroga i usłyszawszy zaledwie dźwięki surm wojennych, pierzchło. To „Pan“ złośliwy pomięszał szyki. Dziś jesteśmy rozumniejsi, wiemy, że „Pan“ nie straszy, więc skądże taki lęk, skądże takie pomięszanie pojęć, skądże ten nierozumny szał? Inne tu bóstwo złośliwe odgrywa dziś rolę „Pana“ — to upiór przewrotu.

Obłęd strachu dziś panuje niepodzielnie w Niemczech, stał się zmorą partyi mieszczańskich. I doprawdy, jest jakaś analogia pomiędzy przestraszonem stadem baranów a tym zbiorem okazów z rodzaju „philister vulgaris“. Jednych przyprawia strach o kołowaciznę, więc kręcą się dokoła swej osi, siląc się na wynajdywanie maleńkich środeczków w rodzaju rozmaitych kas, stowarzyszeń i innych instytucyi chwalebnych, które mają zapobiedz „rewolucyi“, innych wpędza strach w bagienko reakcyi, w trzęsawisko praw wyjątkowych. Komizm tej sceny powiększa to, że mieszczaństwo, to dumne mieszczaństwo niemieckie, które niegdyś zgniotło pychę „Raubritterów“, nie zdobywa się już z własnych sił na jakąś akcyę polityczną. Jak legawiec w oczy szczwaczy wpatruje się ono w sfery rządzące i czeka skinienia, by z wielkiem ujadaniem i niezrównanem kręceniem ogona rzucić się na upiór czerwony, który je strachem przejmuje, ale to ujadanie szybko przechodzi w skomlenie i pisk, i legawiec zziajany pada u nóg pana.

Tak stało się i teraz. Po raz, zdaje się, trzeci rozległa się pobudka do wyprawy na czerwonych i od miesiąca prasa mieszczańska niemiecka zrobiła sobie przyjemność ujadania. Sypią się projekty praw wyjątkowych i niechybnych środków, mających zmieść wyklętą socyalną demokracyę. Hammerstein, Stöcker, napis „wielbłądzi“, wszystko to mało obchodzi tę sferę poszczutą na upiór czerwony. W końcu cała ta heca jest jedynie śmieszną i socyalnodemokratyczna prasa ma zupełną słuszność, traktując cały ten paroksyzm wściekłości i strachu ironiczną pogardą; ma słuszność, bo do akcyi politycznej, któraby mogła przeciwstawić stronnictwu robotniczemu poważne siły, brak zupełnie ludzi. Czyż może ją rozpocząć stronictwo, które zniosło, aby taki opryszek, jak Hammerstein, stał na czele, pomimo, że w sferach wpływowych tegoż stronnictwa dawno wiedziano o jego łajdactwach? Czyż takie stronnictwo wogóle jest zdolne do czegoś więcej, jak do intryg dworskich? A może „nationalliberali“, to stronnictwo, w którego szeregach są ludzie, co w roku 48 byli czerwonymi republikanami? Ci ludzie pod biczem księcia o miedzianem czole stali się tak potulni, że liżą rękę, która chłoszcze, byle jeść dała. A może pan Stumm i jego przyjaciele będą tymi ludźmi przyszłości? Rola polityczna tego pana skończyła się bezpowrotnie blamażem podczas ostatniej kampanii antiprzewrotowej. „Bourgeois“ tego pokroju jest poważną osobistością, dopóki wyrabia scyzoryki i nożyczki, ale gdy wzywa do oręża, nadaje się do — wodewilu. A może centrum? Ta partya, walcząca za „prawdę, wolność i prawo“ pod wodzą Windthorsta nauczyła się kupczyć zasadami, nie stało jego, i nawet handel już nie idzie. O panu Ahlwarcie nikt nie pomyśli przecież. Panowie Mirbach lub Kardorf bardzo dobrze nadają się do krzykliwej agitacyi bimetalistycznej i nic więcej, — a w polityce nie robi się wielkich rzeczy za pomocą maluczkich idei. A więc — a więc góra i tym razem porodzi mysz. Cała ta wrzawa umilknie jak powstała, stwierdzając raz jeszcze, że nawa państwowa niemiecka nie ma żadnego kursu, pomimo ciągłych nowych kursów. „*Ordre, contre-ordre, désordre*“, — oto koło, w którem się kręci wszystko. A rezaltatem tego, — bezład, bezrząd, czczość, nuda i wieczny strach paniczny.

Cóż jednakże było powodem tego zamieszania, tego szamotania się, które widzimy od miesiąca? „Kto i gdzie zagroził nożem?“ Nie — to tylko upiory, to tylko żarty złośliwego Pana. Powiadają, że zachowanie się partyi robotniczej było takie, że wywołać musiało jakiś wybuch namiętności. Przeczymy temu. Postępowanie to od lat dwudziestu pięciu nie zmieniło się w niczem. Jeżeli weźmiemy do ręki uwagi poświęcone obchodom Sedańskim w dawnych rocznikach prasy demokratycznej, znajdziemy tam zupełnie to samo, co teraz stanowisko. Trzeba bowiem przyznać, że, jakkolwiek zapatrywać się będziemy na partyę demokratów socyalnych w Niemczech, nie można jej przecież odmówić konsekwencyi a przytem otwartości. Z natury swojej nie jest ona zdolną do obłudnej polityki Hammersteinów i Stöckerów, więc występuje z otwartą przyłbicą, jak na mężów przystało. Przyznał jej to przecież największy wróg, książę Bismarck. Kiedy po jego dymisyi prasa gadzinowa przez niego utuczona, żądła przeciw niemu zwróciła, — „Vorwärts“ wystąpił z godnością i spokojem, który tak zaimponował księciu, że powiedział: „tylko prasa demokratów socyalnych ma u nas odwagę“. To samo powtórzyło się teraz i przyznać należy, że w ogólnej degringoladzie ten ironiczny, zimny spokój takiego organu jak „Vorwärts“ imponuje. Jakiś dowcipniś opowiadał, że Japończycy przy zawarciu pokoju chcą zażądać reorganizacyi armii chińskiej, bo „nie ma się z kim bić“. Socyaldemokraci mogliby to samo powiedzieć o swoich przeciwnikach.

---

Marya Komornicka.

# SKRZYWDZENI.

SZKIC DRAMATU W 3 AKTACH.

(Ciąg dalszy.)

(Pokój Wandy — chwilę po wyjściu dzieci).

WANDA (*wbiega, rzuca się na krzesło wyczerpana z łkaniem*).

Nie mogę! nie mogę dłużej! Jak ja je uczę? Jak? A ta praca codzienna mnie zabija! Ach, jeżeli coś robić, to inaczej! Są przecie rzeczy, których człowiek uczynić *nie może!* Siły moje leżą odłogiem... Nie uczynię nic w tej pracy! A ona jest podstawową! konieczną! Uświadomić ciemną masę... Oświecić ją... dać jej pojęcie swych interesów, a przytem swego człowieczeństwa, by nie dzika horda męczonych zwierząt lecz ludzie dopominali się o swe prawa!... (*gwałtownie*) Lecz to nie moje, nie moje przeznaczenie! Mnie budzić sumienie tych, którzy oświecać lud mają! Oświecać „oświeconych“! Zwoływać do codziennej pracy szeregowców społecznych! Inicyatywa! Pieśnią bohaterstwa wstrząsnąć senne sumienia. Do mnie pieśń należy! (*idzie do fortepianu z podniesioną twarzą*). Pieśń bohaterską chcę stworzyć i rzucić ją śpiącym bohaterom (*uderza kilka akordów w takt marszu, urywa*). Na co to? Puste dźwięki! One mają własność zabijania, nie wskrzeszania ludzi!... (*zakrywa twarz rękoma*). A jednak ja nie żyję życiem prawdziwem i pełnem, odkąd zaparłam sie swej potęgi! Gdybyż to zaparcie pozwoliło mi rozwinąć tyle energii i zdolności w obranej pracy, co w rzuconej!... Lecz tu na nieustanną czujność buntującej się woli, na ustawiczne hamowanie krzyku gwałtu mej istoty zużywa się jej tyle, że pracy się jej prawie nie dostaje nic... (*wzburzona, trze czoło*). I gdyby ta praca miała większe skutki! Oświata warstw wyższych, podstawa jutra przełomu!... Lecz tutaj, gdzie tu oświecenie jest wielkim wysiłkiem niewielu tylko jednostek, nie prostym wynikiem społecznych urządzeń... i gdzie praca nad rozwidnianiem ciemnych mózgów odbywa się z tak ogromnym trudem, z tak potwornem niebezpieczeństwem, z tak nieproporcyonalnym wydatkiem pojedyńczych energii, wyniki są tak nędzne!... Bo je głuszy nietylko okrutna, ostateczna walka o byt, lecz i straszny ucisk zewnętrzny, a ogranicza jeszcze ogólna prawie obojętność klas uprzywilejowanych... Gdzie potrzeba cierpliwości wielbłąda przy ofiarności anioła, ja... ja staję do pracy w braku spokojnych, wytrwałych wykonawców; ja, niezdolna do pracy codziennej, rwąca się w niej jak waryat w żelaznym kaftanie; ja, organizacya twórcza, przeznaczona tem samem do inicyatywy i uogólniania dążeń, nie do zastosowywania cudzej myśli! (*gwałtownie*). Ja mam swoją myśl! Cudzą karmić się, cudzą wprowadzać w życie nie umiem! Ci, którzy stwarzać nie mogą, niech myśl krystalizują w życie!... Program rzucić, tego wymagać odemnie można! Inni dają pracę rąk swoich, ja duszę swą całą oddaję! Czy to jeszcze mało? Ha! tylko im myśli mojej, ni twórczości nie potrzeba! (*gorzko*) Ha, ha! Moja gra trucizną!... Kazio! Leon! Dla czego to mówili? Trucizną im nie była moja muzyka, lecz odczucie niepokonanej potęgi w kobiecie, którą oni, mężczyźni, ujarzmić chcieli! (*szyderczo*) Władcy!... ha, ha! I oni myślą, że zniosę jakiekolwiek nad sobą panowanie? I czyje, czyje? Jednego z nich, jednego z nich, jednego z tysiąca!... (*z zapałem*) Tylko dusza duszy panować może, potęga potędze! (*dumnie*) Niech się znajdzie kto, kto mnie w proch upokorzy swą wewnętrzną wielkością i mocą, a upadnę przed nim na kolana! (*z gniewn*

I znowu powtórzyć należy: „wszystko co jest, jest rozumne“. To ustosunkowanie się sił partyjnych ma swoją przyczynę, jest nieuniknioną konsekwencyą społecznego rozwoju. Rozwój ten doprowadził z konieczności do zabagnienia dawnych haseł politycznych. Pod jego wpływem rycerz feodalny zmienił się w kupczącego agrarczyka, „bourgeois“, który przed stu laty podniósł sztandar z hasłem „wolność i równość“, zamienił się w „narodowo-liberalnego“ kramarza lub antisemickiego krzykacza, i pod wpływem tego rozwoju społecznego partya robotnicza występuje z nowem hasłem, nowemi ideałami i świeżemi siłami. Tu bądź co bądź młodzieńczą świeżość, a ztamtąd zapach zalatuje grobów.

*J. B. M.*

# Przegląd prasy polskiej.

W sprawie godności dziennikarskiej, poruszonej przez nas w nr. 40, zabiera także głos „Gazeta Toruńska“ i solidaryzując się z wywodami „Dziennika“ i „Przeglądu“, takie opowiada zdarzenie:

„Pewien młody dziennikarz skarżył się na wyraźną niechęć sfer, którym dotąd niczem się nie naraził.

— Oni ci nie ufają — odpowiada znawca miejscowych stosunków.

— Jak mnie poznają, będą z pewnością życzliwi.

— Bynajmniej! Jeżeli chcesz, aby ci wierzyli, popełń wobec nich jakie łajdactwo, sprzeniewierz co, albo sfałszuj weksel na niską sumę, podpisując którego z nich, a potem przyznaj się do winy.

— To mnie oddadzą prokuratoryi.

— Przeciwnie, osłonią cię i ufać ci będą bez granic, wiedząc, że nie będziesz się im opierał z obawy, aby nie odkryli publicznie twych sprawek“.

Wszakże to ładny obrazek — naszej zgnilizny!“

„Gazeta Opolska“ pisze w nr. 79:

„Ambona stała się wczoraj, w niedzielę, jako na schyłku starego ćwierćrocza w niektórych parafiach górnoszląskich widownią agitacyi politycznej, zamiast być miejscem, z którego padać winno urodzajne słowo boże. Tak w N. Piekarach wystąpił znany już ks. kap. Abramski w niebywały i niegodny powagi kapłańskiej sposób przeciw „Katolikowi“, „Gazecie Opol.“ i „Nowinom“, wskutek czego w parafii wre, jak wiemy na pewno, straszne rozgoryczenie. Gdzie indziej wystąpiono przeciw „Gaz. Opol.“ wprawdzie nie wręcz, ale pod „kwiatkiem“, również w niegodny sposób.

Tylko w jednej poblizkiej parafii powiedział ks. proboszcz (prywatnie, nie z ambony), że nie zgadza się wprawdzie na kierunek narodowo-polski „Gaz. Opol.“, ale przyznać musi, iż „Gazeta“ pomimo to katolickich spraw, jak sprawozdawca się wyraził, „dobrze się dzierży“. Ks. proboszcz ten, choć przeciwnik, ale przecież szlachetny przeciwnik. Szanujemy nietylko stan duchowny, ale szanujemy nawet tak uczciwie wyrażających się przeciwników. Natomiast ubolewamy nad tem, że tu i tam polityka dostaje się na ambonę, gdyż dowodnie przekonujemy się, iż to ludu od czytania nie odstrasza, tylko go w wysokim stopniu drażni. Lud i tak czytać nie przestanie, bo wie, że walka z niemieckimi przeciwnikami nie jest skierowaną przeciwko duchowieństwu, ale że ma na celu obronę nigdy nie przedawnionych praw ludu. Gazety polsko-katolickie doznają zaprawdę gorszego traktowania, jak gazety masońsko-liberalne.“

W tej samej sprawie donoszą „Gazecie Opolskiej“ (nr. 80) z Popielewa następujące szczegóły:

„Miły Redaktorze! Nie możemy tego zamilczeć, cośmy wczoraj (w niedzielę) za kazanie słyszeli od naszego wielebnego ks proboszcza (pana Fararza) Nerlicha. I tak od wtorku aż do piątku był nasz ks. proboszcz we Wrocławiu na ćwiczeniach, wskutek czego wczoraj w niedzielę 29, nas nauczał, co tam słyszał. Począł więc okrutnie hałasować na „Gazetę“ a potem na „Katolika“; mówił, że „Gazeta“ krzyczała jeno: Szmula! Szmula! Szmula! po trzykroć, a „Katolika“ (to mówił) raz czytałem, ale już nie będę, bo to są Poznaniaki; ci chcą pieniądze zarobić, bo to jest bardzo dobry zarobek. (!!) Oni by was chcieli do Poznania przyciągnąć, toby wam potem wasze role wykupywali, a innym sprzedawali, jak tam robią. Ale nasze stosunki są wcale inne jak na Poznańskiem, bo Śląsko od 600 lat nie było polskie, więc to nie nasi ludzie. Sobieski też nie był nasz. (!!) Ale ja sobie myślałem: Gdyby nie król Sobieski, kto wie, coby dzisiaj w Szląsku było, gdyż dzielny ten król polski pobił Turków pod Wiedniem, przez których nietylko Polacy i Niemcy, ale cała Europa była zagrożona. Dziwny jest ten nasz ks. proboszcz (pan Fararz). Jak był nowy kościół zbudowany, tak nam ks proboszcz powiedział: „Nowy kościół, to też będą nowe porządki!“ I tak się też stało, bo nam się w święta bardzo zmieniło. I tak w pierwsze święto łacina, w drugie niemczyzna, a ludzie wszyscy za błazna! Każdy otwiera gębę do szeroka, a nie wie co robić, śpiewać nie potrafi, modlić się nie może, bo przeszkadzają, a każdy do domu wraca niewesoły, jak dawniej bywało. jeno smutny, a w kościele porządek to do podziwienia!! Nie ma żaden gazety czytać, jeno „Kuryera górn.“, bo na jego czele stoi ksiądz, a tylko księży mamy słuchać!“

Lwowskie „Czasopismo akademickie“ poświęca w numerze październikowym następujące uwagi galicyjskim wyborom:

„Każdy, kto interesował się wyborami w kraju naszym i równocześnie przeglądał dzienniki postępowe, nie mógł nie zwrócić uwagi na to, że w okręgach wiejskich, w kuryi małej własności, wybory odbywały się pod presyą władz politycznych. W ciągu ubiegłego miesiąca nie było dnia, któryby nie przyniósł wiadomości o zakazach zgromadzeń przedwyborczych, o niedopuszczeniu do nich pewnych ludzi, rozporządzających nieco większą odwagą cywilną, o przeprowadzeniu prawyborów w niewłaściwym terminie, lub o aresztowaniach prawyborców i wyborców. A trzeba dodać, że inicyatywa takiego postępowania nie wychodziła od rządu, ale od społeczeństwa, że twórcami takiego systemu nie są posłuszni urzędnicy, lecz niezawiśli, nieraz na świeczniku stojący obywatele, którzy bez wahania poświęcają prawo interesom stronnictwa i klasy, a zarzucając ludowi galicyjskiemu niechęć do autonomii i parlamentaryzmu, robią parodyę.

Z presyą i teroryzmem szło w parze przekupstwo. Nie pomógł zbiorowy list pasterski wszystkich biskupów, potępiający wymownie nadużycia wyborcze — najpoważniejsi posłowie, przedstawiciele opinii kraju i kierownicy jego spraw najżywotniejszych, uważali zdobywanie mandatów pieniędzmi za rzecz zupełnie naturalną. Nie cofnęli się przed praktykami, demoralizującemi włościanina stokroć bardziej, niż wszelkie najbardziej przewrotne agitacye i ani na chwilę nie pomyśleli o tem, że przekupstwo plami zarówno tego, który bierze, jak i tego, który daje...

Wobec tego wszystkiego my, młodzież, nie możemy pozostać obojętnymi i milczącymi, nie możemy wypowiedzenia naszych przekonań odłożyć aż do chwili, w której ustawa powoła nas do udziału w życiu politycznem, — nie możemy nawet, jak to zrazu było naszym zamiarem, sami tylko z sobą podzielić się smutnemi spostrzeżeniami. My zabieramy głos, aby przed całem społeczeństwem polskiem wypowiadać się z naszego bólu.

W zastępach tych, którzy wykonywaniem największych praw politycznych pogardzili jak niepotrzebną stratą czasu, — w zastępach tych, którzy w jakikolwiek sposób poniewierali najcenniejszemi skarbami obywateli: swobodą słowa i swobodą głosowania, są ludzie, których my przywykliśmy szanować, są powagi naukowe, od których pragnęliśmy się uczyć, są mężowie stanu, na których dotychczasową działalność publiczną patrzyliśmy z czcią i na niej chcieliśmy wzorować.

To też boli nas, powtarzamy, stokrotnie boli to lekceważenie i maskowanie solidarności, lub interesem narodowym, poniewieranie praw, które niedługo mają być naszemi prawami.

A jeśli owi, których my uważamy za winnych takiego stanu rzeczy, powiedzą nam, że młodzi „smarkacze“ nie powinni się mięszać do tego, co robią starsi, my mamy odpowiedź gotową. My im powiemy jednę prawdę, może krwawą: Pamiętajcie, że was niedługo zabraknie, a na wasze miejsca przyjdziemy my, kształcące się obecnie pokolenie, — a my prawo pojmować będziemy jako rzecz obowiązującą i świętą i nie pozwolimy go lekceważyć. Pamiętajcie, że my po was przyjdziemy i będziemy musieli naprawić to złe, które wy nam zostawicie. A jeśli tych napraw będzie za wiele, dobędzie się z piersi naszych i popłynie wtedy już może na groby bolesna skarga i gorzki wyrzut. Czy wy pragniecie tej skargi i tego wyrzutu?“

# Przegląd prasy słowiańskiej.

Staroczeska „Morawska Orlice“ zamieszcza następującą korespondencyę z Cieszyna:

„Tutejsi Niemcy mają dotychczas nadzieję, że gimnazyum polskie tego roku nie będzie otwarte. To najciekawsze, że liczą teraz na pomoc z Galicyi od tamtejszej władzy szkolnej. Starania deputowanego miasta Cieszyna, pana Haasego, okazały się bezskutecznemi. Nadaremno starał się on wraz innymi posłami lewicy, aby ministerstwo usposobić dla gimnazyum niechętnie. Rząd widząc, że nie ma żadnych danych, aby otworzeniu gimnazyum przeszkodzić, dał zezwolenie. Wówczas chwycono się innych środków. Stawiano różne wymagania co do rozmiaru sal szkolnych, ale że tym wymaganiom uczyniono zadość, więc i te środki nie poskutkowały. Przed kilku miesiącami sądzili tutejsi Niemcy, że „Macierz Szkolna“ nie zdobędzie sił z odpowiedniemi kwalifikacyami, ale to zawiodło. Dziś się oka-

---

*wzgardą*) Lecz oni!... Niech uciekają od mej gry, lecz ja grać będę. Jeżeli się lękają szwanku dla swej płaskiej równowagi, jeżeli dla swych strusich skrzydeł obawiają się ognia mojej myśli, niech uciekają, drepcąc jak strusie! Ja grać będę i myśleć, a jeżeli się zaprę swej siły, to nie dla codziennej pracy wykonawcy, lecz dla potężnego ruchu, którego będę wodzem! (*słońce mrąc, zalewa ją i fortepian*). Ogrom cierpień i wewnętrznej męki wygrać, bunt natury ludzkiej i hasło bojowe. A potem walczyć, walczyć wściekle, by zmiażdżyć ogrom ogólnych katuszy! To moje przeznaczenie! (*uderza gwałtownie kilka akordów, urywa; — z bólem*) Gdyby jak dawniej skupić się i grać. Lecz chaos we mnie i wokoło mnie, memu rozdrażnionemu uchu schwycić się nie daje! (*z rozpaczą*) Ja już nie umiem tworzyć!... (*nienawistnie*) Ludzie, coście ze mną uczynili! (*gwałtownie*) Więc zabiliście duszę duszy mojej? Więc macie to, coście chcieli! (*gorzko*) To nie oni! to moje własne rozbite sumienie; to niepokój i walka najgłębszych mych, indywidualnych popędów z koniecznością etyczną wobec ukropnych, palących zagadnień czasu. To wątpliwości w rdzeniu mej natury tkwiące... A gdy się wpatrzę w niezliczone i naglące potrzeby, z których każda zdaje się ręce wyciągać do mnie, mam gwałtowny wyrzut sumienia i okropny ból niemocy, że ja jedna nie mogę dzwignąć świata! (*z gorącym bólem*) A kto go dźwignie?... Miliony rąk bezczynnych, lecz te ręce nie chcą pracować! Miliony dusz pustych, lecz te dusze nie dadzą swej nudy i czczości wypełnić poczuciem społecznego obowiązku: to niebezpieczne!... Czyby miliony wysłać było można na męki Sybiru, gdyby miliony były jednym „przestępcą“! Więc w społeczeństwie, w którem wszystko, nawet ono samo, staje na przeszkodzie skupieniu się siły zbiorowej, w którem żyje i rozwija się nikczemny i dziecinny egoizm jednostkowy i zupełna nieświadomość, że on jest występnym, gdzie ci, którzy procować powinni, gniją w dobrobycie materyalnym i duchowem niechlujstwie, kto podejmuje się zadania tysięcy ludzi? Ci, którzy stać powinni u steru, nieliczna garstka widzów zbiorowej pracy! Jak w źle zorganizowanem lub upadłem gospodarstwie, ludzie zaprzęgają się do pługa, bo zwierzat pociągowych nie ma!... W takiem społeczeństwie *ja* prowadzę szkółki ukryte, a za niedołęztwo i zbrodniczą obojętność ogółu geniusze myśli i czynu giną wśród Czukczów i Jakutów. A gdyby rzucili nieodpowiednią paszę, coby się stało?... Leżałaby odłogiem! Wśród bankierów, pewnych swego kapitału, fabrykantów, nie obawiających się, by krzywdy mas zwróciły się przeciw nim i w czasie strejku udających się do zbrojnej, wrogiej pomocy; wśród mas średniozamożnych, podających dłoń tyranii piorunowaniem na głuchy bunt uciśnionych; wśród tłumu uległego niewoli, pozwalającego ciemiężyć się, naigrawać się z siebie kałmuckiemu knutowi, odbierać sobie wszelkie prawa człowiecze, bez wewnętrznego już nawet protestu i bez szemrania, i przeklinającego tych, którzy hańbiącego jarzma znieść nie mogą... wśród patryotów o zacieśnionych mózgach, których oburza ruska pieśń swobody, i wśród arystokracyi, patrzącej ze wzgardą małp na tytaniczne wysiłki ludzi, i grającej w karty z dostojnikami łapaczów i żandarmeryi... Wśród tej całej wstrętnej zgrai sytych i dziko spokojnych, ludzie stworzeni do szerokiej działalności durzą się w ciasnych zakresach czynu, wyczerpując się przedwcześnie; orły łamią sobie skrzydła, ciągnąc pług społeczny pod lornetkami wołów bezczynnych; bohaterskie dusze giną męczeńsko za czyny, które w normalnych warunkach są powszednim pyłem życia, a które tu, jako niedościgłe, są marzeniem istnień całych i pożerają całe istnienia. W takiem społeczeństwie ja... ja czuję się zobowiązaną do dręczącej pracy każdego dnia i powierzchni myśli! Bo kiedy mam sumienie, muszę mieć sumienie i za tych, którzy go nie mają, za setki! I pracować za tych, którzy nie pracują, za setki!

zało, że szkolne władze galicyjskie stawiają przeszkody nauczycielom gimnazyalnym w sprawie przesiedlenia się do Cieszyna. Przeszkody te ztąd powstały, iż brak w Galicyi nauczycieli szkół średnich, więc władza nie chce pozbawienia się sił nauczycielskich.

„W tutejszych kołach polskich sądzą atoli, że się powiedzie wyjednać owo pozwolenie i w tym celu podjęli usiłowania posłowie szląscy ks. Świeży, dr. Michejda i Ciencioła.

„Nie byłoby to do darowania, gdyby z tego powodu nie zostało gimnazyum otwarte.

* * *

Zagrzebska „Hrvatska“, główny organ stronnictwa prawa, pisze z powodu otwarcia „Domu Narodnego“ w Prinjo:

„Idea stronnictwa prawa, idea Chorwacyi swobodnej całej i zjednoczonej przywiodła swoich wyznawców na wspaniałą uroczystość otwarcia „Narodnego Domu“. Jednogłośnie przyjęto statut o organizacyi stronnictwa prawa.

„Statut ten nie zostanie martwem słowem na papierze, ale wniknie on głęboko w serce każdego z członków. Liczne zebranie obywatelstwa świadczyło, że i my tutaj nie sprzeniewierzyliśmy się idei czystego chorwactwa.

„Zarząd wydał z okazyi tej uroczystości taką odezwę: Ktokolwiek ma i czuje w sobie miłość choć najsłabszą dla naszego hasła: „Za Boga i Chorwacyę“! niechaj nie staje się głuchym na nasze wołanie! Ażeby narodowi naszemu dopomódz nie pozostaje nam nic innego, jak zgromadzić się w jeden szyk wielkiego stronnictwa prawa, które na swoim sztandarze wypisało wyraźnie te słowa: Bog i Hrvati! Na ostatniem zebraniu stronnictwa prawa, w którem brało udział 700 przedstawicieli różnych miejscowości kraju naszego, powiedziano sobie: Będziemy bronić wiary świętej i chorwackiej ojczyzny. Stańmy więc w jednym szeregu, chorwaccy bracia, aby nas żadna potęga złamać nie mogła. Z tego powodu wezwaliśmy was dnia 23 września do domu brata Prpića, ażeby się porozumieć co do utworzenia klubu, który ma być skrzydłem wielkiego stronnictwa, wiodącego do jedności i swobody pod sztandarem: Bog i Hrvati. Zarząd stanowią: Milan Pavlović, Petąs Sabljak, Iwan Prpić, Miroslav Babić“.

„Ze wszystkich okolic przybyli Chorwaci na uroczystość, z Jercerany, Stajnicy, Krispocja a nawet od Setinaca i Kriviputa!

„Zasługuje na uznanie, że licznie stawiło się duchowieństwo.

„Ze wszystkiem mamy w klubie 30 członków, ale cieszymy się nadzieją, że ich będzie więcej. Po wyczerpaniu porządku dziennego zabawiliśmy się miłą pogawędką, jako istotni bracia i rzetelni Chorwaci. Zrobiliśmy przełom, ufamy silnie, że klub nasz nie będzie istniał na papierze, ale żył i działał dla dobra naszej miłej ojczyzny, Chorwacyi. Bog i Hrvati!“

*D. K.*

## BADANIA NAUKOWE.

# Ludwik Pasteur.

W świeżo zmarłym Ludwiku Pasteurze traci nietylko Francya, ale świat cały jednego z najznakomitszych lekarzy i wielkich zasług przyrodnika. Szersza atoli publiczność łączy jego nazwisko wyjątkowo prawie z nowożytną metodą szczepienia ochronnego przeciw rozmaitym chorobom zakaźnym. W rzeczywistości też był on w ostatnim okresie swego ruchliwego życia przedewszystkiem lekarzem. Kiedy w r. 1884 dnia 10 sierpnia wygłosił Pasteur w Kopenhadze wobec najznakomitszych lekarzy i w obecności pary królewskiej swój głośny odczyt p. t. „O mikrobach chorobonośnych i o szczepieniu ochronnem“, stał ten mały o przenikliwych a przyjaznych, okularami nie uzbrojonych oczach, o krótko ostrzyżonej, szpakowatej brodzie, na szczycie sławy, na którym pozostał aż do śmierci. Prelegent, podawszy w odczycie swoim krótki przebieg historyi nauki o chorobonośnych drobnych ustrojach, doszedł w krótkiem, niemal suchem przedstawieniu kwestyi do zdania sprawy z swych spostrzeżeń o zaledwie zapoczątkowanem przezeń szczepieniu ochronnem przeciw wściekliźnie. Odczyt swój zakończył on szeregiem relacyi, zdanych w sprawie wścieklizny przez komisyę, złożoną z najznakomitszych fizyologów francuzkich, pomiędzy którymi także jaśniały nazwiska, jak Paweł Bert, Beclard, Vulpian i inni.

Wśród frenetycznych oklasków opuścił Pasteur trybunę, wszyscy byli przekonani, że komunikat jego wnosi w dziedzinę medycyny środek nieobliczalnej doniosłości, że Pasteur wzbogacił biologię i patalogię szeregiem najświetniejszych odkryć.

Dziwne to jednak zjawisko, że człowiek ten, któremu medycyna tyle zawdzięcza i który poczynił tyle zasług na polu badań nad grzybami najniższemi oraz nad najmniejszemi organizmami, znajdującymi się na granicy świata zwierzęcego i roślinnego, otwierając uczonym nowe zupełnie dziedziny pracy, nie był nigdy ani botanikiem ani zoologiem, ani lekarzem, lecz pierwotnie poświęcił się był chemii. Rozpoczął od doświadczeń fizykalnych i chemicznych, a odkrycia tam poczynione doprowadziły go stopniowo do zawiłych problematów biologicznych, i przy ich to badaniach zakończył on swoją karyerę. Pasteur nie należy do wielkich filozofów praw przyrody, którzy jak Galileusz, Newton, Goethe, R. Mayer, Helmholz ogarniali całość problematów natury, ale nie można go także zaliczyć do tego niemałego szeregu szczęśliwych odkrywców, którzy jednem lub dwoma szczęśliwemi odkryciami wielkiej doniosłości nieśmiertelną zyskali sławę, zdobytą niemal bez trudu. Zajmuje on raczej środek pomiędzy jednymi a drugimi; sukcesy jego były bowiem owocem niezwykłej bystrości umysłu, szczególniejszego uzdolnienia do przeprowadzania doświadczeń oraz niestrudzonej pilności. Biograf Pasteur'a, jego zięć Walery Radot, przytacza w swej pracy pt. „M. Pasteur, Histoire d'un savant par un ignorant“ (P. historya uczonego, przez laika), interesujący, pilności tej dotyczący szczegół. Jeszcze w kolegium w Besançon, w którem 18-letni wówczas Pasteur należał do najlepszych uczniów, budził go codziennie o 4 rano służący szkolny słowami: „Wstawaj pan, panie Pasteur; trzeba odepchnąć od siebie demona lenistwa“. Tą niestrudzoną wytrwałością odznaczał się Pasteur do końca starości.

Syn żołnierza z czasów pierwszego cesarstwa, który po wojnach napoleońskich oddał się garbarstwu, ale który syna już od najwcześniejszych jego lat przeznaczył dla zawodu naukowego i żadnej na cele wychowawcze nie szczędził ofiary, przeszedł młody Pasteur kursa w kolegiach w Arbois i Besançon i wstąpił w 21 roku życia po zdaniu świetnego egzaminu do słynnej „Szkoły normalnej“ w Paryżu. Tutaj słuchał wykładów wielkiego chemika Jana Baptysty Dumasa, oraz odkrywcy bromu, Balarda, i oddawał się niestrudzenie próbom doświadczalnym razem z asystentem Dumasa Barruelem.

W chemii doświadczalnej miał więc tutaj znakomitą szkołę. Tutaj też kiełkowało najdonośniejsze może pod względem wartości wewnętrznej odkrycie. Za inicyatywą słynnego chemika berlińskiego Eilharda Mitscherlicha, zajęła się akademia berlińska badaniem soli sodowych i amoniakowych, ich dziwnego zachowania się wobec światła polaryzowanego. Kwas winny tworzy bowiem z sodą (natrium) i amoniakiem po dwa gatunki soli jednej i tej samej jakości chemicznej, których kryształy zupełnie są do siebie podobne, zarówno pod względem zewnętrznym jako też w optycznych swych osiach. Jeżeli jednak wystawimy rozczyny jednego gatunku na światło polaryzowane, to płaszczyzny polaryzacyjne kręciły się na prawo,

---

(*Wchodzi Leon*).

WANDA (*zrywa się*).

Pan tutaj?!

LEON (*wzdrygając się*).

Nie wiedziałem, że mi to niewolno. Przepraszam! (*cofa się ku drzwiom*).

WANDA (*biegnie ku niemu i bierze go za ręce*).

Panie Leonie, co za szaleństwo! Ależ jam bardzo, bardzo panu rada.

LEON (*ściskając jej rękę*).

Myślałem, że mnie pani znać już nie chcesz; zresztą przyszedłem w interesie pani... ostrzedz ją, byś się miała na baczności. Dowiedziałem się, że są na tropie twej szkółki ukrytej i że cię mają na oku... (*gniewnie*) Dla czego się pani narażasz?...

WANDA (*wzrusza ramionami*).

Nie ja jedna.

LEON.

Niech to robią inni, szaleńcy.

WANDA (*śmieje się*).

Więc masz mnie za trzeźwą? Myśl, że podkopuję dzisiejszy stan rzeczy, że narażając się, przyczyniam się dzisiaj do rozwalenia tyranii, jest mi dźwignią w pracy.

LEON.

Dziwny instynkt awanturniczy! (*z bólem*) A, gdybym był wiedział!... (*gniewnie*) Dla czego na drodze legalnej nic uczynić nie chcesz?

WANDA.

Bo na niej dziś już nic uczynić nie można, i — bom dzieckiem całkowitej swobody, całkowitej myśli i czynu!

LEON (*po chwili*).

Widujesz ludzi?

WANDA.

Pewien ich gatunek.

LEON (*szyderczo*).

Gatunek twój!

WANDA (*poważnie*).

Nie, jam jedna!...

LEON (*porywczo*).

Lecz i ci ludzie popychają cię w ognie niebezpieczeństwa!

WANDA (*podnosi głowę*).

Ja ich prowadzę!

LEON (*rozdrażniony*).

Gdzie, czem?

WANDA.

Wielką ideą społecznego i indywidualnego wyswobodzenia człowieka.

LEON (*szyderczo*).

Marzycielko! Entuzyastko, trwoniąca swą energię na tworzenie fantazyi i widziadeł. Zamiast ograniczyć swe działanie, chcesz objąć świat cały i nie obejmujesz nic. Wstrząsasz bezcelowo duszami ludzi i to ci daje wrażenie bohaterstwa! Nasyć wprzód głodnych, oni twego raju myśli i swobody nie pragną!

WANDA (*zrywa się*).

Co pan pleciesz? Pan...

LEON.

Dziwisz się pani?... Nam chodzi o pracę konkretną, o konkretne jej wyniki, nie o marzenia! Gdy pani dawniej mówiłem o pracy społecznej... (*urywa*) nie wiem, com mówił, lecz powiem, co teraz myślę; rozumiem ją jako legalną i pożyteczną pracę, podnoszącą dobrobyt krajowy. Te twoje wielkie idee na nic się nie zdadzą. Bądź pani doktorem, fabrykantem lub siostrą miłosierdzia, niech praca twoja da coś, z czego korzystać będą mogli wszyscy, nie jakiś przysmak dla wybrednych dusz. Wynajduj pani sposoby ułatwiające życie, stwórz nowe gałęzie przemysłu, rób co chcesz, jak umiesz, byleby twa praca była legalną i dotykalną, natychmiast znajdującą zastosowanie praktyczne!

WANDA.

Ha, ha!

LEON (*dotknięty*).

Śmiej się pani, śmiej!... A nam nie po-

inne zaś na światło polaryzowane wcale niereagowały.

Pierwszą grupę nazwano tartratami, drugą zaś paratartratami. Pasteur przypuszczał z góry, że ostatnia grupa nie może być pod względem chemicznym albo przynajmniej pod względem kryształów zupełnie równą w grupie pierwszej. Udało mu się też znaleść te różnice. Uradowany swem odkryciem, pobiegł do Biota i powtórzył eksperyment swój w jego kuchni; stary Biot, ujrzawszy w polaryraturze naoczny dowód słuszności hipotezy Pasteura, uchwycił go za rękę, mówiąc wzruszony: „Moje dziecko, przez całe życie tak kochałem naukę, że na widok tego serce bije mi z radości“. Po niejakim czasie przedstawił Biot pupila swego profesorowi Mitscherlichowi w Berlinie następującemi słowy: „Możesz się, młody przyjacielu, pochlubić, żeś dokonał wielkiego dzieła, jeżeliś odkrył to, co się nie udało takiemu oto mężowi“. Mitscherlich przyjął go z uznaniem, ale powiedział, że czyniąc doświadczenia owemi solami, które on, Mitscherlich, zbadał jak najdokładniej, kierował się jakąś z góry powziętą ideą.

Po owem odkryciu, dotyczącem kryształów kwasu winnego, nastąpiły inne, dotyczące ciał organicznych. Do nieśmiertelnych zasług Pasteura zalicza się przedewszystkiem epokowe jego odkrycie w sprawie fermentacyi. Najwięksi chemicy: Liebig, Gay Lussac, Berzelini daremnie zajmowali się zagadką fermentacyi, która z mączki, słodu i cukru wytwarza kwas węglowy i alkohol.

Helmholz zbliżył się przy końcu czwartego dziesiątka lat w laboratoryum Magnusa do tego odkrycia, dokonał go atoli dopiero Pasteur. Jego studyom nad piwem, winem i octem zawdzięczamy przekonanie, że istnieje właśnie pewien rodzaj grzybów, wywołujących każdą z tych fermentacyi, oraz inny rodzaj grzybków, wywołujących fermentacyę kwasu mlecznego i maślanego.

Piwowarstwo i cała industrya, dotycząca fermentacyi, otrzymały dopiero przez Pasteura podstawę naukową. Dalsze jego odkrycie, że przy pewnych temperaturach proces fermentacyjny się przerywa, ponieważ grzybki tylko w pewnej temperaturze rozwijać się mogą, doprowadziło do tak zwanego pasteuryzowania napojów alkoholicznych, t. j. nadawania im trwałości na długi przeciąg czasu. Ale ponieważ Pasteur uznał i procesy gnicia za skutek działania niskich roślinnych organizmów, które dla życia swego potrzebują odpowiedniego gruntu oraz pewnych temperatur, które poniżej lub powyżej pewnego ciepła istnieć nie mogą i które zabijają pewne materye chemiczne, stał się przeto właściwym odkrywcą stworzonego następnie przez Lictera a przez chirurgów stosowanego przeciwgnijnego opatrywania ran.

Drugim wielkim czynem Pasteura było odkrycie szczepienia ochronnego przeciw zapaleniu śledziony. Bakterye choroby tej odkryli już w r. 1853 Davaine i Rayer, Koch zaś odkrył ich sposób wegetacyi i udzielania się zwierzętom, atoli dopiero Pasteur nietylko postawił w r. 1877 pewnik, że chorobę śledziony można przenosić za pomocą szczepienia, ale znalazł także metodę osłabiania zarazka i ochronienia za pomocą takiego osłabionego zarazka zdrowych zwierząt od choroby.

Ostatniem ogniwem w łańcuchu tych odkryć, których zasługa należy się wyłącznie Pasteurowi, są wyniki jego badań nad wodowstrętem. Ziomkowie Pasteura umożliwili mu stworzenie osobnego instytutu, w którym uczony ten mógł badania swoje prowadzić dalej, a gdzie uczniowie jego, śród których najwybitniejszym jest dr. Roux, metody jego rozwijają dalej. Jeżeli się rozważy, że Pasteur już w r. 1868 rażony był apopleksyą, to podziwiać należy jego olbrzymie poświęcenie się dla celów naukowych, jego wielki pod tym względem idealizm. Wogóle był Pasteur naturą idealną, nawet marzycielską. Interesującemi są jego zapatrywania religijne. W mowie na cześć Litre'go, którego uwielbiał, choć nie podzielał pozytywistycznych jego przekonań, powiedział on pomiędzy innemi:

„Dopóki na myśli ludzkiej ciężyć będzie tajemnica nieskończoności, dopóty stawiać będą świątynie kultowi nieskończoności, czy Bóg ten nazywać się będzie Allah, Brahma czy Jezus; idea bóstwa jest formą idei nieskończoności. Gdzie są prawdziwe źródła nowożytnej wolności i demokracyi, jeżeli nie w pojęciu nieskończoności, wobec której wszyscy ludzie są równi“. Pasteur gorąco kochał swoją ojczyznę, ale i ludzkość całą, bo nie rozumiał miłości ojczyzny bez umiłowania ludzkości. Był zwolennikiem spirytualizmu — bo materyalizm nie dostarczył dotychczas ścisłego dowodu, że życie i myśl są produktami sił władających materyą.

## ŻYCIE SPOŁECZNE.

# Wrażenia z Cieszyna.

II.

Wyrzutem dla rady miejskiej jest także uliczka, gdzie się mieszczą pralnie, — brudna, woniejąca, gdzie domy stoją nad niby kanalikiem, od którego poprostu trzeba uciekać. A jakie oświetlenie! Nie skłamię, gdy powiem, że na porządnych nawet ulicach trzeba miejscami iść po omacku.

To są szare strony, jakie mogłem niejako z lotu ptaka zauważyć. Nie mówię już, czy nasze dziewczęta polskie mają się gdzie uczyć, czy stosunki Mojżeszów do prowadzonego ludu są bez zarzutu, czy ruch narodowy w mieście jest większym niż ongi, i jeśli przypadkiem jest, czy to zasługa kierowników? A o mieszczanach zazwyczaj wszyscy piszący mówią, że nie są wyzyskani dla ruchu polskiego. Co do mnie, mogę powiedzieć tylko tyle, że spotkałem wielką tępość i zacofanie pojęć, z drugiej zaś strony zapytywani przezemnie mieszczanie nie umieli mi dać odpowiedzi, czem są w istocie. Austryak, Szlązak, Polak — wszystko to częstokroć mięszało się w jedno pojęcie, z którego powoli dochodziłem do wniosku, że mam do czynienia z początkującem uświadomieniem się polskości. A znawcy mówią, że to uświadomienie coraz szersze przyjmie rozmiary, sięgnie niemal do całej ludności Cieszyna, która, jak powiadają, nie ma prawdziwych Niemców, jeno zgermanizowanych Polaków. O ile w tem prawdy, nie wiem, bo o takiej rzeczy wnioskować mogą tylko ci, którzy tam żyją stale. Ale zdanie to wydaje mi się w pewnej przynajmniej części być słusznem.

Wyżej postawiłem pytanie, czy ruch w mieście, o ile jest, należy zaliczyć do zasług przodowników? Postawiłem je dla tego, że spotkałem w Cieszynie kilka jednostek, nie przodujących i nie zgadzających się z kierunkiem działalności forpoczty inteligencyi, a jednak ruchliwych, gorących i energicznych.

Ale przejdźmy, a raczej pojedźmy do Ligotki, miejscowości o kilka kilometrów tylko odległej od Cieszyna, w której znajdziemy małą stacyę klimatyczną. Pociąga nas tam wiadomość o zabawie ludowej.

Młodzież, która w roku bieżącym ukończyła seminaryum, urządziła wycieczkę w góry, a o godzinie 6 wróciła do Ligotki na ową zabawę. Mowa, deklamacya, śpiewy i tańce miały ją wypełnić. Ja patrzyłem, siła będzie tego ludu szląskiego, i oto do gospody weszło kilkanaście osób z Kongresówki, pamiętne o przewodnicy z pociechami, młodzież, kilku mieszczan i może parę wieśniaków. Reszta ludu, może 30, maximum 40 osób, przyglądała się przez drzwi i okna.

Nie krytykuję mowy, co prawda bardzo słabą polszczyzną wygłoszonej, boć były tam najlepsze chęci ze strony młodego seminarzysty, ale wyszło poniekąd, że nie Polska jest dębem, a Cieszyńskie jej gałęzią, lecz naopak.

Po mowie nastąpiły śpiewy, zbyt smętne

---

trzeba twojej „pracy“! To wszystko zabawka! Agitatorstwo jak muzyka! Grając, bawiłaś się; dziś, nurzając się w socyalistycznym, wrzącym prądzie, bawisz się znowu. Znowu ludzi porywasz chimerami twej wyobraźni! I oszukujesz, oszukiwać musisz! Ty zużywasz przyjemnie siłę przeważających w tobie zdolności, a ich gubisz... I siebie zgubisz, bo to zabawka niebezpieczna. Jeżeli chcesz rzeczywiście pracować, przełam twe naturalne popędy, każ zamilknąć twej hypnotyzującej bladze, nie bądź ogniem słomianym, zdobywającym się na dym i popiół tylko, nie pal się ciągle i nie zapalaj drugich, nie dawaj im złudzenia, żeś wielka i silna, gdyś tylko blagą. Bądź podobna do drugich, przestań być baletnicą z corps de balet'u twórczości, marzeń i abstrakcyi, wyprawiającą swe harce nad głodem mas i pracą ludzi uczciwych. Zamiast wirować w łamańcach przed lornetkami zdziwionych bałwochwalczych wodzów, kop ziemię, jak oni. To twój obowiązek.

WANDA (*hamując podnoszącą się w niej burzę*).

Czy znasz pan społeczną regułę: „brać według potrzeb, dawać według sił i uzdolnień?“

LEON.

Wzięłaś pani wiele, masz sił i uzdolnień za wielu; a co dajesz? Szampan dla pijaków zapału i myśli.

WANDA (*j. w.*)

Chcę dawać według sił i uzdolnień; przytem mam zdolności bardzo określone. Czy nie wiesz, na co mnie skazujesz? Na pracę przymusową, pracę wbrew uzdolnieniu; a ona jest okropną nędzą dnia dzisiejszego! A ona pochłania z podwójnym wysiłkiem energię, która w właściwym kierunku użyta, osiągnęłaby wyniki sto razy większe. A ona jest przyczyną tego okropnego marnowania się sił, rozkładu dusz i ciał, które się na każdym kroku spotyka, i na które spojrzeć nie można bez uczucia grozy, rozpaczy i bezsilnego, wściekłego buntu! Czy pan nie wiesz, że są urodzeni zapaleńcy jak kryminaliści z urodzenia, i że im kto wybitniejsze zdolności na świat przynosi, z tem większą trudnością przychodzi mu praca w drugim kierunku?

LEON (*szorstko*).

Nie chodzi o mękę dusz, lecz pracę rąk.

WANDA (*coraz żywiej*).

Pan myśleć nie umiesz, lub coś ci przeszkadza być sprawiedliwym i zmusza do obrzucania błotem wszystkiego, co ja cenię. Wiedz pan, że natura jest matką życia we wszystkich postaciach, i że, jeżeli one wszystkie istnieją, to mają wszystkie prawo bytu i rozwoju, i że ideałem społeczeństwa jest zużywanie sił składających je jednostek w sposób najodpowiedniejszy, więc najłatwiejszy, więc najbardziej natężony, i że rozkwit jego warunkuje się wszechstronnością pracy, promieniowaniem energii we wszystkich kierunkach. Możność rozwoju powinna być daną wszystkim zdolnościom, wszystkim temperamentom! Więc pan nie wiesz, że jest pożyteczność pośrednia jak i bezpośrednia? Że złożoność coraz większa życia, duszy i pracy pociąga za sobą złożoność i różnorodność potrzeb, zatem to, co te nowe potrzeby zaspakaja, jest pożytecznem, że więc nietylko ci opłacają swe istnienie, którzy doraźnie i praktycznie przysługują się ludzkości, lecz i ci, którzy na pozór pracują bez celu. Cóż to za dzika wzgarda dla szczytów rozwoju, panie Leonie! Cóż to za barbarzyńskie przekreślenie ducha w życiu!...

LEON.

To pani go przeceniasz, to pani podporządkowujesz mu wszystko!...

(Dokończenie nastąpi).

i nadto niewyraźne, — potem deklamacya pieśni Garczyńskiego „Śmierć młodzieńca na Syberyi“. Ja myślę, wkradłem się jak złodziej w głowy tej garstki ludu, chcąc poznać, co on myśli i czuje. I otom widział z ich twarzy, że pragną się czegoś dowiedzieć, że nie są obojętni na słowa Polak i Polska, znać było, że to już słyszeli, ale zarazem, że to ich już nie zajmuje, — bo nie ma w tem nic nowego. Zdało mi się, że chcieliby nieco więcej, że posłuchaliby chętnie, gdyby im mówiono coś szerszego i pozytywniejszego o tejże polsko-szląskiej łączności i o tej ojczyźnie, do której wracają. Mniej jeszcze wrażenia wywarła deklamacya i śpiew dla bardzo prostej przyczyny, ponieważ ich nie rozumiano. Śpiewka niewyraźna, deklamacya za górnolotna. Jedyna rzecz, która ich zabawiła, to śpiew na cztery głosy „Dziad i baba“, bo i sens tego zrozumiały i wykonanie było niezłe. Na tańcach nie byłem, bo miałem dość tej niby ludowej zabawy. Była to po prostu komedyjka, zarządzona przez panów przodowników, a wykonana przez młodzież z seminaryum dla okazania panom i paniom warszawskim ruchu (nie wiem czy przodowników?) i rozwoju patryotyzmu śród Szlązaków. Warszawiaków, spragnionych wolnego słowa, można zadowolić lada świecidełkiem patryotycznem. Biedni więźniowie tak się stęsknili za słońcem, że każdy promyk wprawia ich w ekstazę i wszystko za dobrą przyjmują monetę. Ale podług mnie stracono kilka godzin zupełnie na próżno, a ponieważ ta zabawa według objaśnień tamtejszych jest mniej więcej typową, przeto na tem polu przodownicy dla polskości bardzo małe osięgają zyski. Wolałbym, aby kto z młodzieży palnął krótką, zwięzłą a jędrną mówkę, a potem parę popularnych piosenek narodowych, parę wesołych śpiewek i wierszyków i dalej do tańca, aby tylko pociągnąć ów lud, bo o to idzie, a nie o pochwalenie się przed Warszawiakami. Dziwię się tylko, że młodzież owa, która — o ile z nią mówiłem — jest sympatyczną, całem sercem polską, a i pod względem głowy nie ostatnią, okazuje tak mało samodzielności i niewolniczo idzie za przodownikami dla tego jedynie, że są nimi. W ten sposób działając nie dochodzi się do wielkich rezultatów. To też znalazłem bardzo dużo słabej wegetacyi, potknąłem się i o ruiny, a w wielu miejscach widziałem wyglądające niedbalstwo.

Może gimnazyum cieszyńskie pobudzi do ruchu uśpione jednostki i „Macierz“ nasza, której praca teraz poniekąd dopiero się zacznie, wleje świeżą i zdrowszą krew w żyły słabo naprzód kroczącego Cieszyna. A czas naprawdę wielki! W pracy społecznej i narodowej spóźniliśmy się nieco. Musim się spieszyć, bo dużo jeszcze przed nami pola, leżącego odłogiem. Interesa nasze za długo ugórowały, wiele miejsc zbyt już zarosło, a przeto każda niewyzyskana okoliczność, każda godzina stracona jak owa zabawa cieszyńska, jest więcej niż przewinieniem.

Prasa polska powinna czujniejsze zwracać oko na działalność cieszyńską i piętnować każdą ospałość i zaniedbanie.

Podobno w Cieszynie prócz kapitału „Macierzy“ są jeszcze inne. Ile ich jest, nie wiem dobrze, ale jeśli są, działać powinny.

W końcu nadmieniamy raz jeszcze, że prócz owej niby wielkiej pracy przodowników znalazłem kilka jednostek cichych i nienarzucających się na przywódzców, które jednak pracują radykalniej. A zdaje mi się, że i socyaliści polscy, znudzeni żółwiem Cieszyna kroczeniem, chcą mu dopomódz do żwawszego stąpania.

*Warszawianin.*

# Praca kobieca.

Wystawa poznańska zamknięta, tegoroczny salon letni świeci pustkami, a na tak ludny niedawno plac między dwiema bramami dążą ci tylko, którzy okazy swej pracy z pawilonów wycofać pragną. I oto właśnie nadeszła pora ostatecznych obrachunków, zestawienia zysków i strat, porównania korzyści, jakie wystawa przynieść nam miała i tych, jakie przyniosła istotnie. Towarzystwo starych przemysłowców ogłasza konkurs na broszurę, mającą temat ten rozwinąć i wyczerpnąć. Nie czuję się na siłach stanąć do konkursu, nie zamierzam również przedwczesnemi i na niczem nieopartemi wnioskami treści broszury przesądzać. Na razie interesuje mnie tylko pewien dział wystawy — dział dość ciasny i drugorzędny — lecz w ciągu sezonu wystawowego obsypywany gradem pochwał, wysławiany nieproporcyonalnie szumnemi panegirykami i podniesiony do niebotycznego znaczenia. Mówię o wystawie pracy kobiecej. „Jak niegdyś Chrzanowska ocaliła Trembowlę, tak dziś pracowite dłonie pań naszych przyczyniły się niemało do podniesienia znaczenia naszego na wystawie“ — tak przynajmniej twierdził jeden z dzienników poznańskich. Temu dość śmiałemu zresztą porównaniu zarzucićby można między innemi i to, że bohaterstwo Chrzanowskiej przyniosło i jej i krajowi pewne korzyści, Trembowla dzięki jemu nie dostała się pod rządy Turcyi, ani Chrzanowska do sułtańskiego haremu, czy jednak wystawa pracy pań naszych przyniosła również jakieś pozytywne, dodatnie rezultaty, tego dotychczas wiedzieć nie można i tego najpochlebniejsze nawet sprawozdania dziennikarskie nie dowiodły.

Do korzystnych wyników nie zaliczam bowiem bynajmniej owego gradu górnolotnych pochwał, które się z łamów naszej prasy do stóp ubóstwianych Wielkopolanek posypały, ani licznych wzmianek o babkach i prababkach, kapłankach znicza narodowego, których nam w żadnej epoce dziejów nie brakło. Przeciwnie objawy takiego bałwochwalczego obłędu uważam za rzecz niezmiernie szkodliwą, za symptomat choroby, która bardzo potężnie grasuje wśród naszego wielkopolskiego społeczeństwa, a którą nazywam narodowem samochwalstwem. Śmieszna ta epidemia, gdy się nad nią poważnie zastanowić, niezmiernie smutne budzi obawy, a wprost niesmakiem przejmuje, gdy spada na kobiety, które bardzo ważne w społeczeństwie naszem mają zadanie, a które od spełnienia go odwrócić może. Czytając to wszystko, co pod adresem pań naszych piszą miejscowe dzienniki, sądzić by można, że kobiety polskie stanęły u szczytu niewieściej doskonałości i z tego wysokiego stanowiska spoglądać mogą z politowaniem na kobiety narodów innych, które zaledwie wzrokiem do nich sięgnąć mogą. Wszakże jeden z sprawozdawców poznańskich wyraźnie twierdził, że wszystkie ujemne typy niewieście w naszej historyi były obcego pochodzenia, dodatnie natomiast na naszym wyrosły gruncie, zapominając przytem, że królowa Jadwiga była Węgierką a Barbara nie położyła żadnych zasług.

Tym panom jednak, którzy u nas z jakiejkolwiek okazyi o swych rodaczkach piszą, nie chodzi ani o historyczną prawdę, ani o pożytek społeczeństwa, chodzi jedynie o komplimenta. Rozumne kobiety śmieją się z nich, a nawet czują się urażone, pojmując, że t kie bezsensowne pochwały wprost je ośmieszają, jednakże mniej rozumne postawione na wysokiej kolumnie prowincyonalnej adoracyi dostają zawrotu głowy i łatwo uwierzyć mogą we własną doskonałość. W tem właśnie leży niebezpieczeństwo.

Gdyby zamiast hołdu bezwzględnego uczestniczki wystawy doznały objektywnej a sumiennej, choćby surowej krytyki, ten ich publiczny występ mógłby je naprowadzić na nowe drogi. Widząc błędy i niedostatki swej dotychczasowej działalności, pragnęłyby im zaradzić i skierować swą pracę na pola mniej wyzyskane a lepiej odpowiadające potrzebom społeczeństwa i naszemu ekonomicznemu położeniu. Wystawa byłaby dla nich sposobnością do obliczenia swych środków, przeglądem roboczych sił kobiecych,

---

KAZIMIERZ TETMAJER.

# Rzeźbiarz Merten.

(Kontur do noweli.)

„Człowiek z takim, jak twój, talentem — pisał ojciec Juliusza Mertena — Bóg wie, jak wysoko stać już powinien. Masz lat dwadzieścia sześć, a w twoim wieku ludzie już mają pewny chleb w ręku. Taki Daliński niema ani połowy tego talentu, co ty, a zarabia do pięciu tysięcy rocznie, Wierzycki wziął teraz tysiąc dwieście reńskich za biust Goldsternowej. Jestem przekonany, że gdybyś chciał, mógłbyś dziś stać tak, jak oni, jeżeli nie lepiej. Staraj się bywać w porządnych towarzystwach, wyrabiaj sobie stosunki, korzystaj z tego, żem cię przedstawił księciu Konstantemu, on cię może zaprotegować. Bez protekcyi nic nie zrobisz, duma jest bardzo dobra, ale nie prowadzi w twojem położeniu do niczego. Trzeba się nagiąć do ludzi, bo inaczej nie można. Ja już jestem stary, stoję nad grobem, ale myśl o biednej matce, która się na śmierć zadręcza. Wiesz, że już pracować nie mogę dla niej i musisz ty teraz myśleć o jej egzystencyi. Pieniądze, któreś przysłał, dawno się wyczerpały i nie wiem nawet, jak sobie biedaczka radzi teraz. Weź do serca moje słowa, porzuć życie, jakie obecnie prowadzić musisz, pracuj, żyj z ludźmi, bo jeżeli ty o domu pamiętać nie będziesz, przyjdzie mnie skonać gdzieś na barłogu, a matce pójść rękę wyciągnąć. Nie dopuść-że do tego, jesteś przecie mężczyzną. Kocham cię z serca, ale żal mój do ciebie jest bardzo wielki. Ciągnąłem się dla ciebie do ostatniego, nie myślałem o zabezpieczeniu sobie spokojnej starości, ani matce bytu, aby tylko tobie ułatwić studya. Odwdzięczże się za to, rób, co możesz, bo ludzie wytykać cię będą palcami, jako złe dziecko, niewdzięczne i bez serca.

Twój ojciec

Ryszard.“

Drugi list, w tejże samej kopercie, od matki Juliusza brzmiał:

„Ukochane dziecko moje, umiłowanie ty moje serdeczne. Ojciec bardzo rozżalony na ciebie i rozdrażniony, łaje mnie i gniewa się ciągle. Musiał ci bardzo przykre rzeczy napisać. Nie bierz mu tego za złe, od kilku dni reumatyzm odjął mu zupełnie władzę w nogach i dokucza mu więcej, niż zwykle, a przytem stan nasz materyalny najfatalniejszy. Wyobraź sobie, że musiałam sprzedać, bo więcej dawali, niż w zastawie, ten złoty krzyżyk, który mi kupiłeś za pierwsze zarobione pieniądze. Gdyby nie to, od dwóch dni nie jedlibyśmy obiadu. Pojmujesz, jak mi było, kiedy musiałam z tym krzyżykiem pójść do Kaufmannowej. Myślałam, że mi serce pęknie. Nie będę ci nawet pisać o tem. Teraz nie mam już w domu nic ani do zastawienia, ani do sprzedania. Ojciec nie zna dokładnie stanu rzeczy, ale drżę na myśl, że będę mu musiała powiedzieć całą prawdę. Co dalej będzie, nie mam pojęcia i myśleć nawet o tem nie chcę. Dziś dwunasty, a dwudziestego przypada jedna rata wekslowa, dwudziestego drugiego druga; czy pamiętasz o tem, moje biedne, drogie dziecko? — Gospodarz przysłał już dwa razy za mieszkanie, odpowiadam mu, że czekam na pieniądze od ciebie i zgodził się do piętnastego zaczekać. Maryanna także niezapłacona już trzeci miesiąc prawie. Jeżeli możesz, pomyśl o nas koniecznie.

Nie uwierzysz, jak mi strasznie ciężko, że muszę się u ciebie dopominać o pieniądze, których sam masz tak mało, ale wszelkie próby, abym zarobić coś mogła, nie udały się. Nieszczęście nas prześladuje na każdym kroku. Doprawdy grzech to, ale czasem prawie przychodzi mi na myśl prosić Boga, aby tego nieszczęśliwego starca zabrał już do siebie, aby mu się nie dał już tak męczyć dłużej. Jeszcze mam na dwa dni na życie, potem nie wiem, co będzie? Zupełna otchłań pod nogami. Wszyscy się dziwią, że ty, taki zdolny, zarabiasz tak mało. Ja sama tego zrozumieć nie mogę. Czemu to?

punktem wyjścia do jakiejś organizacyi pracy niewieściej.

Obiecywano nam coś podobnego w chwili, gdy zawiązywał się komitet wystawowy pań naszych. Mówiono o zawiązaniu Towarzystwa opieki nad pracą kobiecą i niejedno serce już radowało się na myśl, że Wielkopolanki nasze rozwiną pożyteczną i gorliwą działalność w tak ważnej u nas ekonomicznej dziedzinie. Czy piękny ten projekt utonął w powodzi słodko mdlących panegiryków?

Niemki, z któremi tak lubimy na naszą korzyść się porównywać, mają jednak swój: „Frauenschutz“, a my o tyle od nich więcej warte, o tyle pracowitsze, praktyczniejsze — jak głoszą dziennikarze — czyż stworzyłyśmy dotychczas coś podobnego, lub czy zamierzamy stworzyć?

Z drugiej strony przyznać należy, że w samej organizacyi, w samym charakterze wystawy leżał błąd zasadniczy, który ją pozbawiał poważniejszego znaczenia. Słusznie sprawozdawca warszawskiego „Przeglądu tygodniowego“ ocenił, iż nie była ona wystawą przemysłu kobiecego, kobiecej pracy, lecz przeważnie wystawą robótek damskich. Znaczną część okazów składały przedmioty ładne lecz niepotrzebne. Nie były to ani dzieła sztuki, ani nawet sztuki do przemysłu stosowanej, ani też przemysłu samego, lecz po prostu różne mniejszych lub większych rozmiarów t. zw. „bibelots“, bardzo właściwe na imieninowe lub gwiazdkowe podarki, na pamiątki lub zabawki, kosztowne i pracowite wytwory delikatnych i pieszczonych rączek. Znaczenie tych okazów oceniać zresztą należy nietylko ze względu na ich wygląd zewnętrzny, lecz także na warunki w jakich zostały wykonane. Zupełnie nie podzielamy zachwytu pewnego dziennikarza, który z okazyi robót panien hrabianek M. takie wygłasza zdanie: „Nie wiadomo, co więcej podziwiać, czy artystyczną ich wartość, czy też zamiłowanie do pracy trudnej *nie wywołyvane potrzebą żadną*, lecz tylko wzniosłem pojmowaniem posłannictwa kobiety i chęcią pożytecznego zużycia czasu. Jak ż to piękny przykład dla innych!“ Nie można tego ganić hrabiankom, że nie umiejąc pożyteczniej czasu zapełnić, zajmują się wykonywaniem ładnych i trudnych robótek, nie można jednak utrzymywać ich w przekonaniu, że praca *trudna* jest przez to samo ważną, a wykonanie jej „*nie wywołane potrzebą żadną*“ świadczy „o wzniosłem pojęciu powołania kobiety“.

Powołanie kobiety w naszem społeczeństwie jest o wiele poważniejsze i nie spełnia się go należycie przez mozolne rzeźby na drzewie, choćby się nawet udało nie zrobić „ani jednej fałszywej linijki, ani jednej kreski za mało lub za wiele“. Obowiązkiem kobiet w naszem biednem, ekonomicznie wyczerpanem społeczeństwie, jest przedewszystkiem badać potrzeby narodu i skierować swą pracę w tę stronę, w której największą pozytywną korzyść przynieść może. Jest bardzo liczna kategorya mozolnych i trudnych robótek, których wykonywanie jest po prostu zbytkiem, trwonieniem czasu i pieniędzy i nic a nic nie przysparza zasobu materyalnego. Ileż to u nas pracy kobiecej idzie po prostu na marne, ile sił kobiecych trwoni się na zajęcia, których znaczenie ekonomiczne jest żadne lub prawie żadne!

Jeżeli n. p. pracowita panienka spędza całe dnie nad ozdobną robótką, gdy równie ładną i równie praktyczną kupić może taniej niż materyał potrzebny do wykonania jej własnej, wówczas, mimo całego mozołu powiedzieć można, iż czas trwoni bawiąc się kosztownie. Jeżeli tak zwana praktyczna gosposia wypełnia swą śpiżarnię słoikami konfitur, lub własną rączką przyprawia i piecze smaczne torty dla uczęstowania gości — podczas gdy mężowi braknie pieniędzy na opłacenie procentów, nie można pochwalić jej pracowitości, raczej zbytek potępiać należy. Takie fakty jednak w naszym kraju zdarzają się niezmiernie często, a zdarzają się właśnie dla tego, że kobietom naszym braknie znajomości najelementarniejszych ekonomicznych zasad i że pracą ich nie kieruje żadna rozumna organizacya.

Nie można winy zwalać na same kobiety, spada ona na ogół społeczeństwa naszego, spada przedewszystkiem na tych, którzy zamiast powołać swe rodaczki do wspólnej pracy, zamiast kształcić je i objaśniać, pochlebstwami je zbywają.

Nie twierdzę bynajmniej, aby nasze wielkopolskie kobiety nie poświęcały się również różnym korzystnym zawodom, aby pracą swoją do ogólnego dobrobytu zupełnie się nie przyczyniły. Nie mam na to dowodów, ale nie mam i dowodów przeciwnych, żałuję tylko, że tegoroczna wystawa w tym względzie mnie nie objaśniła. Nie sądzę, aby to było winą naszego kobiecego komitetu, przypuszczam raczej, iż wynikło to z ogólnej organizacyi wystawy, szkoda jednak, iż przy tej sposobności, jak i przy wielu innych u nas, zaznaczył się fatalny podział na damy i kobiety.

Dzięki temu podziałowi owoce *pracy* kobiecej utonęły i znikły wśród nagromadzonych okazów przemysłu, a ciekawa publiczność, zwiedzająca pawilony wystawowe, ujrzała głównie tylko rezultaty estetycznych i misternych zajęć, którym damy swe chwile wolne poświęcają.

Dzięki temu wreszcie wystawa tegoroczna w niczem nas naprzód nie posunęła i nie nauczyła nas niczego. Zawód, którego doznaliśmy, możnaby jednak powetować, gdyby zawiązało się istotnie owo zimą jeszcze zapowiedziane Stowarzyszenie opieki nad pracą kobiecą. Stowarzyszenie to połączyłoby naturalnie przy wspólnym warsztacie kobiety i damy, kładąc koniec zgubnej i nie licującej bynajmniej z duchem czasu kastowości, która tylko na takim gruncie jak nasza wielce zacofana dzielnica kwitnąć może. W stowarzyszeniu tem zogniskowaćby się powinny wszystkie rozstrzelone dotychczas siły robocze kobiecego świata. Pracownice różnej kategoryi i wszelkich zawodów powinny się w niem połączyć wspierając się wzajemnie, objaśniając, czerpiąc rady i wskazówki pożyteczne.

Wyszukiwanie pracy, zbieranie danych, dotyczących zarobków kobiecych w różnych zawodach, torowanie dróg nie wyzyskanych dotąd lub zaniedbanych, odkrywanie korzystnych rynków zbytu dla produktów kobiecego przemysłu, udzielanie młodym pracownicom wskazówek, w jakim kierunku najkorzystniej dla siebie pracować mogą, wreszcie udzielanie wsparcia tym, które wskutek wyjątkowych okoliczności lub nieszczęścia pozbawione są możności zarobienia na życie — oto główne zadanie tego rodzaju stowarzyszeń. Byłoby naturalnie pożądanem, aby Wielkopolanki w Poznaniu zamieszkałe z siostrami swemi z prowincyi jak najczęściej się komunikowały. Taka łączność i porozumiewanie się wzajemne pozwoliłyby jednym i drugim pożytecznie czas spędzać i lepiej wyzyskać otaczające okoliczności. Samo n. p. gospodarstwo kobiece stało się dziś ważną gałęzią gospodarstwa ogólnego, a niektórzy mężczyźni twierdzą nawet, że z tego względu nie powinno się go w rękach kobiet pozostawiać. Dla czegożby jednak i *gospodynie* nie miały gałęzi tej wyzyskać, jeśliby zamiast słuchać jedynie tradycyi i mieć na względzie wyłącznie swoje i swych domowników potrzeby, czerpały informacye z dobrego źródła i produkowały wyłącznie te wyroby, które nakład opłacają i które z czystym zyskiem spieniężyć można. A ileż to prócz gospodarstwa istnieje kierunków pracy umiejętnie i z ogólnem zadowoleniem uprawianych przez kobiety, ileż takich, które u nas wogóle odłogiem leżą lub w obcych pozostają rękach. Tego rodzaju brakom można niewątpliwie zaradzić, gdyby ktoś gorliwie zajął się ich notowaniem a Stowarzyszenie pracy kobiecej zadanie to podjąćby musiało.

Gdyby stowarzyszenie takie powstało, gdyby rozwinęło się tak, jak tego pragnąć należy, mogłoby zajść i dalej, mogłoby zorganizować kasy pożyczkowo-wkładkowe dla pracujących kobiet, bezpłatne biura, polecające pracę

---

W modlitwie jeszcze moja ostatnia pociecha, ostatnia otucha i nadzieja, może Bóg dobry zlituje się wreszcie nad nami i ześle nam lepszą dolę, temu biednemu starcowi nad grobem i tobie, mój najdroższy synu, ty wszystko moje. Ja już dla siebie nic nie chcę i wziełabym wszystko złe na siebie, aby tylko wam było lepiej. Przecież Bóg jest dobry — nie wątpię w to, nie chcę zwątpić, nie mogę...

Zrób co się da, bo inaczej z głodu i na bruku pomrzeć nam chyba przyjdzie obojgu z ojcem. Ja opuścić go nie mogę, a z nim nawet do służby mnie nie przyjmą.

Kończę już, bo mi łzy zalewają oczy, błogosławię cię, tęsknię do ciebie i tak mi cię żal, tak żal, tak okropnie żal, moje ty najdroższe, biedne dziecko. Twoja matka.“

„Kochany Julku! — pisał tego samego dnia Daliński — nie odpowiedziałeś mi na ostatni mój list, ale jestem tak szczęśliwy, że chciałbym całemu światu o mojem szczęściu opowiedzieć, a że i ty jesteś cząstką świata — nawet artyści są ludźmi — więc choć tobie opowiem. Jesteśmy teraz z moją żonuchną, żonusienką, z moim żonusiem najdroższym we Florencyi. Nie masz pojęcia, jak tu cudownie! Samo słońce, słońce, słońce, a mnie się zdaje, że ono nie z nieba świeci, tylko z naszych serc, i że to nie jakieś światło w przestrzeni płonie i grzeje, tylko miłość nasza, szczęście nasze. Kwiatów tu w bród, zupełnie podobne do słów mojej żony i do jej pocałunków. Jest mi tak dobrze, tak dobrze, tak dobrze! Nie mogę zrozumieć, że może być komuś źle. Wiesz, że sprzedałem mojego Atlasa za dwa tysiące franków — kupił go jakiś stary markiz włoski — a teraz robię biust jakiejś rudej Amerykanki, Brzydka, jak piekło — ty byś nie robił tego za miliony — ale bogata, jak Mackay, czy Wanderbildt, bo już mówić, jak Krezus, wyszło z mody. Zażądałem pięć tysięcy franków i zaraz się głupie babsko zgodziło, choć byłbym za tysiąc pięćset zrobił. Obsypuje prezentami moją żonę, w której się kocha — kretyn tylko mógłby się w niej nie kochać — a te prezenty już ze trzy razy tyle warte, co ja za biust wezmę. Powiadam ci, sypie złotem, aż się źle robi. Powiada, że sprowadzi z Paryża swoje dwie siostrzenice — jeżeli takie same małpy bezogoniaste, to powinni we Florencyi ogród zoologiczny zaraz założyć — i także mam je portretować. Gotówem fortunę na tej babie zrobić. A wszystko to dzięki mojemu anielstwu, moim małym ślicznościom, w których się ten koczkodon zaatlantycki rozmiłował. Dobrze, że nie potrzebuję być zazdrosnym.

Powiadam ci, zrób tak, jak ja, ożeń się. Dopiero można być szczęśliwym naprawdę. A na świecie jest tak dużo, tak dużo, tak okropnie dużo szczęścia!... Twój

Karol Daliński.“

— Tak dużo, tak dużo, tak okropnie dużo szczęścia — powtórzył Juliusz Merten, i nagle stargawszy list w ręku, rzucił go na podłogę swojej pracowni i deptać począł z wściekłością.

— Bydlę! bydlę! przeklęte bydlę! — szeptał przez zaciśnięte wargi; po chwili jednak uspokoił się i myślał: — Czego ja od niego chcę? Cóż on temu winien, że jemu jest dobrze, a mnie jest źle? Ale i co ja jestem winien, że mnie jest źle i że im jest źle?...

— Można? — ozwał się nagle gruby głos za drzwiami pracowni.

— To ty, Krążel? — spytał Merten.

— Ja.

— Wejdź.

Wszedł Krążel, kolega Mertena, o rok od niego starszy, chłop z pochodzenia, co od razu poznać można było po rysach twarzy, rękach i budowie ciała. Z jednym tylko tym Krążlem Merten żył bliżej; zbliżało go doń to, że obaj byli bardzo biedni, najbiedniejsi w całej majsterszuli. Tylko o ile Merten usiłował pozorami okryć swoją nędzę, o tyle Krążel nic sobie z niej nie robił, owszem, afiszował się z nią na każdym kroku.

— Cóż, ty szlachcicu? — rzekł, siadając na odwróconej dnem do góry pace od węgli — cóżeś ty taki zły?

— Nic. Miałem listy.

— Z domu?

— I z domu i od Karola Dalińskiego.

a zarazem udzielające informacyi i utrzymujące pewien rodzaj statystyki kobiecego przemysłu, wreszcie kiedyś, i to byłoby bardzo pożądanem, wydawać własny organ, z którego czerpaćby mogły pożyteczne wskazówki kobiety pracujące w gospodarstwie, przemyśle lub jakimkolwiek innym zawodzie.

Wszystko to rzeczy bardzo od nas dalekie, ale nie wkraczające bynajmniej w granice niemożliwości, gdyż istnieją one już gdzieindziej, stworzone przez te właśnie cudzoziemki, którym to nasze kobiety wszędzie i zawsze za wzór służyć mają. U nas, jeśli nie ma jeszcze tego rodzaju organizacyi, daje się jednak uczuwać jej potrzeba.

Z potrzeby tej zrodził się projekt rzucony jeszcze zeszłej zimy, czy zaś projekt w czyn się zamieni, na to odpowiedzą zapewne panie, które myśl tak piękną i zbawienną pierwsze poruszyć raczyły, co w każdym razie pozostanie ich ważną i niezaprzeczoną zasługą.

*I. Moszczeńska.*

JERZY BRANDES.

# DWÓR WIEJSKI

## w Królestwie Polskiem.

(Listy z 1894 roku.)

(Ciąg dalszy.)

Student zaaresztowany przed paru laty jako przywódzca socyalistycznej partyi znikł tak bez śladu, iż brat pomimo usilnych i nieustających starań i próśb do władzy nie może się dotąd dowiedzieć, czy został powieszonym, czy też jest jeszcze przy życiu. Egzekucye są otoczone nieprzedartą zasłoną tajemnicy, odbywają się bez rozgłosu po więzieniach i jak ogólnie twierdzą, nigdzie, nawet w Petropawłowskiej fortecy nie wpisywane są w księgi, by nie pozostało po nich śladu. Tak łatwo znikają tam nieszczęśliwi więźniowie, tyle wody otacza tę smutną wyspę.

Trzeba przyznać Rosyanom, iż gdy chodzi o utrzymanie systemu państwowego, są niewzruszeni i nie bawią się w żarty. Zaaresztowano tu przed niedawnym czasem czterech oficerów z gwardyi, którzy korzystając ze swego stanowiska prowadzili nihilistyczną propagandę wśród podwładnych. Znaleziony bilecik dowodził, iż jedna z książek pisanych w duchu owej propagandy, a drukowana zagranicą, była pożyczoną jednemu z nich przez krewnego, sędziego pokoju, tu w Warszawie. Wzięto go więc natychmiast i badano, w jakim celu postarał się o tę książkę dla siebie. Odpowiedział, co było prawdą, że chciał ją przeczytać głównie przez ciekawość i że nie dzielił bynajmniej wyrażonych w niej poglądów. Czterech oficerów naturalnie rozstrzelano, ale co dziwniejsza to to, że sędzia pokoju został powieszonym.

System ten ma to w sobie doskonałego, że uniemożliwia, by próżność lub ambicya były pobudką politycznych przestępstw. Żadnemu z pism nie wolno jest wspomnieć nazwiska obwinionego, jako też omówić choćby słowem jego uwięzienia i towarzyszących temu okoliczności, a tem mniej przytoczyć tego, co on mógłby chcieć powiedzieć na swoją obronę. Znika cicho i bez rozgłosu i odtąd z nazwiskiem jego już nigdzie spotkać się nie można. Gdyby system podobny zastosowano we Włoszech i Francyi, z pewnością liczba anarchistów i morderców wybitniejszych osobistości zmniejszyłaby się tam znacznie. Nie da się jednak zaprzeczyć, iż ma on swoje przerażająco ciemne strony.

Nadzór nad zabronionemi książkami stał się w ostatnich czasach o wiele surowszym niż dawniej, niepodobna prawie się w nie zaopatrzyć. Żaden księgarz nie podejmie się dostarczyć podobnego dzieła, jakkolwiek wprzódy działo się to niemal codziennie; widzę np., iż ani jedna z książek wydanych przezemnie w językach obcych od czasu ostatniej mojej w tym kraju bytności nie przedostała się w granice Rosyi.

W szczególnem przeciwstawieniu do tego surowego systemu jest pełne grzeczności i dowodzące dobrego wychowania obejście rosyjskich oficerów. Myliłby się, ktoby myślał, że rosyjski gwardzista — w Warszawie konsystują tylko pułki gwardyi — przypomina choć trochę zarozumiałego, sztywnego i traktującego wszystkich z góry, pruskiego oficera. Wyszukana uprzejmość, nieledwie skromność i zachowanie się człowieka z najlepszego towarzystwa oto charakterystyczne jego cechy. Dwaj wyżsi wojskowi urzędnicy, którzy w skutek zajmowanych stanowisk najwięcej złego mogliby wyrządzić Polakom, szef żandarmeryi jenerał Brock i oberpolicmajster jenerał Kleigels lubiani są przez ludność polską. Jakkolwiek zmuszeni ściśle się stosować do rozporządzeń wyższej władzy, przedstawiają oni każdą sprawę w możliwie łagodnem oświetleniu, a gdy postępowanie ich podwładnych jest szorstkiem i brutalnem dzieje się to wbrew ich woli.

I nietylko wydatniejsze osobistości jak oni, ale wszyscy oficerowie nie mają skłonności do znęcania się nad Polakami, jako nad zabranym narodem, przeciwnie w postępowaniu z nimi starają się być bez zarzutu. Oto rażący tego przykład, który miał miejsce przed niedawnym czasem. Jeden z synów jenerał-gubernatora, oficer gwardyi, zobaczył u kolegi zabronioną książkę (Towarzystwo warszawskie) i spytał go, zkąd ją dostał, ten wymienił znaną tu firmę księgarską. Młody porucznik Hurko udał się do księgarza i zażądał owej książki. Odpowiedź brzmiała, że nie posiada jej, bo jest zabronioną. Czy nie mógłby mu jej sprowadzić? W zwykłych okolicznościach jest to surowo wzbronionem; dla syna jenerał-gubernatora zakaz ten zapewne nie istnieje, lecz gdyby wiedziano, iż się tego podjął, mógłby za to odpowiadać. Hurko nalegał, dając oficerskie słowo, iż nie nadużyje zaufania. W kilka tygodni później młody oficer był w posiadaniu książki i wydał księgarza, który mu ją dostarczył, poczem tenże podległ ciężkiej karze pieniężnej. Niezwłocznie koledzy Hurki podali prośbę do władzy o usunięcie go z ich liczby, w razie zaś odrzucenia ich żądania, jednomyślnie prosili wszyscy o dymisyą. Nie otrzymywali na to długo odpowiedzi, lecz gdy uparcie trwali przy swojem, porucznik Hurko został usuniętym z pułku, jakkolwiek jednocześnie przeniesionym do generalnego sztabu.

Listy zaczynają mię dochodzić zwolna, jakkolwiek w szczególnym porządku; przed paru dniami otrzymałem pisany 5-go sierpnia, dziś znów odbieram z dnia 27-go lipca, w każdym razie pocieszającem jest, że poczta stała się dla mnie łaskawszą. Czas najdokuczliwszych upałów, w czasie których główną pociechą dla nas była oświeżająca kąpiel prysznicowa w parku, już minął. Nie zdarzyło mi się wejść do tej kąpieli bez uprzytomnienia sobie pierwszego aktu Walkiryi, zbudowaną jest bowiem naokoło czterech potężnych pni drzew, które rosną najswobodniej w pośrod budynku, tak jak rosło owo wielkie, stare drzewo w domu matki Zygfryda. Temperatura dozwala teraz myśleć o wycieczkach w bliższe i dalsze okolice, by skorzystać z otrzymanych zaprosin. Używają tu zwykle do zaprzęgu czterech koni, dla złego stanu dróg, po których mniejsza ich liczba nie dałaby sobie rady z ciężkim powozem. Zaciekawiają mię te wycieczki, gdyż pomiędzy sąsiadami tutejszymi niemało niepospolitych kobiet i zajmujących a oryginalnych spotyka się ludzi.

III.

Mamy zatem dzisiaj odpust w tutejszym kościółku. Od rana słychać wciąż odgłos dzwonów, a lud napływa zewsząd falą obficie. Prze-

---

— Tej bestyi wiedzie się podobno archanielsko?

— Tak.

— Taki but! Nie mówię o tobie, ale nawet ja mam więcej talentu, niż on. Czy nie?

— Czy ja wiem? On sprzedaje, a my nie.

— To inna rzecz. A zresztą to nieprawda. Ja sprzedałem dziś dwie figurki à la Tanagra z terrakoty. Czemu ty takich nie robisz?

— Nie umiem.

— Prawda, żeś ty artysta i tylko artysta, a ja jestem i artysta i rzemieślnik. Ale ten Daliński, wierz mi, to tylko rzemieślnik. Tylko, że to sprytny mechanik!

— Wiem o tem.

— Słuchajże, cóż ci jednak jest?

— Żal mi, że nie jestem sam.

Krążel przetarł twarz swoją szeroką ręką.

— Rozumiem — rzekł — rozumiem. Wiesz, że ja sam nieraz jestem kontent, że moi starzy kopyta wyciągnęli pierwej, nim się ta mizerya zaczęła. Zawsze samemu lżej. Bieda tamci, co?

Merten nic nie odpowiedział.

— I cóż ty myślisz? — mówił dalej Krążel.

— W łeb sobie palnąć — odrzekł Merten.

— Tak, toby było najradykalniej.

Milczeli chwilę, potem Krążel rzekł:

— Wiesz, kiedy tak patrzę na ciebie i na mnie, wiesz, do czego wydajemy mi się, ty i ja podobni? Oto do dwóch patyków wierzbowych, od pnia odciętych, które w ziemię wsadzono, ale je coraz więcej zasypują ziemią. Mimo, że podług porządku, nie mają prawa żyć, jako odcięte, jednak żyć mogą i żyć chcą, wsadzono je w grunt i puszczają gałązki zielone, ale zasypują je ziemią, która je głuszy i przygłuszy wreszcie. Skazane na zagładę, zginąć muszą, choćby żyć mogły. Może się źle tłómaczę, ale mnie rozumiesz, prawda?

— Rozumiem cię. Dla czego ty jednak masz ginąć? Co tobie staje na przeszkodzie? Jesteś sam i tylko o sobie myśleć musisz.

— Nie mam szczęścia. A zresztą, wiesz, ty jesteś za wielki pan na artystę, a ja jestem za ordynarny. Ty nie umiesz zarabiać, a ja, co ulepię, to takie ciężkie, że nawymyślałbym od psów, ktoby chciał to kupić. Za grubą mam, chłopską rękę. Wiesz co? — dodał po chwili — zacznijmy rzeźbić figury do kościołów po wsiach.

— Sprzedaż dwie na rok.

— I to prawda, albo i tyle nie. Niema co, muszą nas djabli wziąć. Niema szczęścia.

— Nieprawda! Nie, niema szczęścia! Szczęścia jest dużo, dużo, okropnie dużo!...

Milczeli długo, potem Krążel ozwał się:

— Merten, jadłeś ty dziś śniadanie?

— Nie.

— A na obiad masz?

— Mam wszystkiego dwie szóstki.

— A do zastawu co, do sprzedaży?

— Nic.

— Bo ja com za te tanagry wziął, to musiałem oddać Winklerowej za ostatni tydzień i goły jestem, jak święty turecki, a tak mi się żreć chce...

— Weź jedną szóstkę, leżą tam na stole. Jak chcesz, to weź dwie.

— A ty?

— Mnie się jeść nie chce. Mnie się już niczego na świecie nie chce, tylko odpocząć, raz odpocząć. Weźże, nie rób komedyi.

— Wezmę, bo mi aż coś w kiszkach skręca. Za te tanagry dali tak mało, ledwie, że Winklerowa się zgodziła poczekać na resztę. Będą dwa serdele, dwie bułki i papieros. Masz ty co palić?

— Nie.

— Wiesz ty, Merten, przecieby Pan Bóg bardzo źle zrobił, gdyby takiemu, jak ty, pozwolił zginąć.

Merten uśmiechnął się.

— Cóż, czy ty, Krążel, wierzysz jeszcze w to, że jest coś, co ci na co pozwala, albo nie pozwala, co się mięsza do ciebie?

(Ciąg dalszy nastąpi.)

kupnie pobudowali na prędce wokoło kościoła budy i stragany, na których porozkładano różne świętości: obrazki, różańce, krzyżyki, jako też tanie zabawki dla dzieci, wszystko to tak niewypowiedzianie nędzne, że nie wiem, czy znalazłby się pomiędzy tem choć jeden przedmiot wart więcej niż kilka groszy. Przerażającym jest po prostu widok świętych obrazów, porozwieszanych dla zachęcenia publiczności u okapu jakiejś wielkiej starej szopy. Są to oleodruki z najszkaradniejszych i najbardziej pozbawionych gustu i talentu obrazów, bluźnierczych wprost w swoich przedstawieniach słodziutkich Maryi i napomadowanych Chrystusów. Przyjrzawszy się bliżej tym bohomazom, dostrzegamy ze zdziwieniem na większości ich napis New Jork. A więc to niestrudzeni Yankesi, jako prawi protestanci, zajmują się po tamtej stronie Oceanu fabrykacyą setek tysięcy świętych obrazów dla katolików tu w Europie, by na tem grosz gruby zarobić. Cóż dziwnego w takim razie, że są tak okropne! Oleodruk z najbardziej mdlącego Carlo Dolci zrobiłby jeszcze po nich bardzo przyjemne wrażenie.

Kościół przepełniony po brzegi, drzwi otwarte na roścież, a tłum mężczyzn i kobiet ciśnie się do nich, by choć coś usłyszeć z kazania, dalej na całym cmentarzu grupy ludzi stojących, siedzących i klęczących w skupieniu z odkrytemi głowami. W koło siedzą, wyciągając do przechodniów z żałośną prośbą ręce, żebracy, którzy w liczbie osiemnastu przybyli tu krytym wozem, same wstrętne kaleki, obraz tych, na których przed wieki syn człowieczy cudów dokonywał. Mularz miejscowy, który właśnie przedsięwziął naprawę kościoła, wzniósł po nad nim dla wykazania swej pobożności coś w rodzaju kapliczki, opatrzonej dużym krzyżem drewnianym, która jest czemś okropnem w swoim rodzaju.

Poczucie smaku i piękna wygasło zupełnie u tutejszego ludu: za dawnych czasów było inaczej! Jakże ładnym i pełnym wdzięku był jego strój narodowy, którego używania zabraniają tak surowo Rosyanie! Jak oryginalnem są dziś jeszcze biała, naszywana czerwonem sukmana galicyjskiego włościanina i jego pilśniowy kapelusz. Tu chłop nosi szkaradny kaszkiet na głowie a ubranie bez żadnego fasonu i charakteru, podczas gdy kobiety i dziewczęta, pozbawione swego pełnego wdzięku ludowego kostyumu, stroją się z upodobaniem w tandetę o jaskrawych barwach.

Spacerują one sobie wzdłuż straganów, przypatrując się z ciekawością rozłożonym przedmiotom, targując to lub owo, kupując bułkę, obwarzanek lub trochę przygotowanych na sprzedaż, mimo zakazu, owoców. Widać ztąd, że i tu, jak i gdzieindziej, owoc zakazany ma zawsze pewien urok. W jednej z bud rozdają bezpłatnie od dworu butelki z przegotowaną wodą, zaprawioną odrobiną pieprzowej mięty, soku lub mięty dla smaku, która to woda, wbrew oczekiwaniu, podobała się ogromnie publiczności.

Panie nasze, pomimo strasznego upału i nieznośnej z powodu ścisku atmosfery, parę godzin już wytrzymały w swych ławkach w kościele, my mężczyźni przyszliśmy na końcu dopiero, by być na tak zwanej „sumie“. Pstrym i różnobarwnym był widok, który się przedstawił oczom naszym z pobliża ołtarza. Tuż poza odprawiającym mszę duchownym zgromadziło się lepsze towarzystwo: panie, mieszkanki okolicznych dworów, niektóre z mężami, przybrane odświętnie, których uwaga przy modlitwie nie zbudowała mnie zbytecznie, dalej włościanie i mężczyźni, kobiety i dzieci, głowa koło głowy, ile ich kościół mógł pomieścić, w szczególnem oświetleniu, jakie tworzył blask świec zmieszany z dziennem światłem. Wszędzie białe, żółte, różowe nakrycia głów, pomiędzy którémi odbijały rażącym kontrastem ciemne, opalone, męzkie brodate twarze. Po nad tym tłumem zaś na klęczkach, to podnoszącym się, to znów pochylającym głowy, by upaść na kolana, gnącym się jak kłosy dojrzałe za powiewem wiatru na polu, dźwięczała pieśń kościelna z końca X wieku, jeden z najstarszych zabytków języka polskiego: proste jej słowa obijały się o sklepienie kościoła: „Święty Boże, święty mocny, święty a nieśmiertelny. Od powietrza, głodu, ognia i wojny, zachowaj nas Panie“. Pochodzi ona z czasów, gdy Polska po raz pierwszy została nawiedzoną przez dżumę, przy obecnie zaś szerzącej się epidemii nabrała znaczenia aktualności.

Kazanie było niezłe, wpajało w serca wiernych, że nie na ćwiczeniach pobożnych i chodzeniu do kościoła powinna polegać pobożność prawdziwa, lecz na życiu cnotliwem, postępowaniu według słów pisma św., natomiast odprawiający mszę księżulek ze swym przygasłym wzrokiem i olbrzymią tuszą był wysoce komicznym: łacina w ustach jego brzmiała jakoś z chłopska, dziwacznie. Wszystko w kościele, co tylko miało związek ze sztuką: malowidła na ścianach, obrazy na chorągwiach, chwiejących się po nad głowami zebranych, — było pozbawione gustu i ohydne, ładnie wyglądały tylko świeże dekoracye z zieleni i kwiatów na filarach, jako też olbrzymie kwitnące oleandry w wazonach około ołtarza. Nasz ksiądz nie potrzebował dziś mieć ani kazania, ani odprawiać nabożeństwa, był gospodarzem i najbardziej go zajmował obiad na 40 osób, który miał być danym po ukończeniu religijnych ceremonii. Patrząc na klęczącego wraz z innymi przed ołtarzem, odgadywałem jego myśli. Nie mówi on nigdy o swoich przekonaniach religijnych, lecz z niektórych jego powiedzeń wnoszę, iż musi on mniej więcej dzielić nasze; dzieje się to przeważnie z młodymi księżmi, wyjeżdżającymi na dokończenie nauk do Rzymu. Pobyt tam więcej jest korzystnym dla ich rozwoju, niż dla umocnienia ich w wierze. Najgoretszą wiarę znajdujemy u księży, co wprost z polskich seminaryów spieszą obejmować stanowiska w parafiach. Dzisiejszy dzień był ogromnie wyczerpujący dla biednych księżulków; do spowiedzi mianowicie zgłosiło się ni mniej, ni więcej jak 400 włościan, a spowiadających było tylko 13; upadali wprost ze znużenia. Pokrzepiali się też potem szczerze po przebytych trudach, przy obiedzie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

---

## KRONIKA BERLIŃSKA.

Berlin, d. 5-go października.

(Po feryach. — Ze zjazdu niemieckich lekarzy i przyrodników. — Wycieczka w sferę metafizyki. — Prasa a skandal Panamy berlińskiej. — Ze sceny. — Sztuka Hirschfelda i Jakobowskiego. — Zapowiedziane nowości.)

Skończyły się piękne dni pracowitego próżniactwa, czem dla każdego z nas są ferye, i rozpoczyna się sezon pracy na seryo. We wszystkich członkach organizmu społecznego krew zaczyna żywiej tętnić, muszkuły silniej działać, a mózg, jakby zważony gorącem lata, odzyskuje sprężystość i siłę.

Do kategoryi pracowitego próżniactwa należą kongresy, które z reguły także w porze letniej się odbywają; słaba linia demaskacyjna dzieli tam sensacye nerwowe. Skutki przyjemnych uczt, spotkań, nawiązania stosunków osobistych od poważnych rachunków sumienia naukowego czy polityczno-społecznego. Z kongresów naukowych, które się odbyły w ciągu lata, znaczenie dla szerszych warstw inteligencyi może posiadać tylko sześćdziesiąty siódmy zjazd przyrodników i lekarzy niemieckich, odbyty w Lubece. Znaczenie to nie polega w pierwszej linii na wykładach fachowych lub na sprawozdaniu *prof. Behringa*, który wobec najkompetentniejszych sędziów mógł skonstatować tryumf swojego wynalazku surowicy leczniczej, zmniejszającej śmiertelność przy dyferyi o 50 i więcej procent, tudzież zapowiedzieć nowe odkrycia, mające wyruszyć do boju z najstraszniejszymi lasecznikami gruźlicy i cholery. Jak długo ostatni wynalazek pozostaje w sferze obietnic, tak długo może wywoływać co najwyżej pobożne westchnienie. Znaczenie kongresu charakteryzuje się faktem, iż wobec świata naukowego została rzuconą rękawica całemu dotąd panującemu poglądowi przyrodniczo-filozoficznemu na wszechświat. Profesor chemii z Lipska, *dr. Oswald* wygłosił odczyt „Przeciw materyalizmowi naukowemu“, w którym zrywa z mechanizmem atomów, z substratem materyi, z jedynym zatem przez naukę przyjmowanym dotąd substratem naszych wrażeń. Neguje on wogóle byt materyi; to, co zmysły nasze nam przynoszą, to są tylko jakościowo różne formy energii, która doskonale się obchodzi bez podścieliska atomów. Prof. *Oswald* opiera swoje rozumowania na całym szeregu dowodów i przykładów matematyczno-fizykalnych i w rezultacie zamiast panującego poglądu materyalistycznego (o znaczeniu sprowadzania zjawisk do mechanizmu materyi) propaguje teoryą energetyczną.

Odczyt nowego tego rewolucyonisty powinien niebawem wyjść z druku i dostać się w ręce wszystkich, którzy mają zmysł dla roztrząsań metafizycznych. Jest on charakterystycznym przyczynkiem do psychologii „fin de siècle'u“. Ostateczne podstawy naszych dociekań, pierwsze założenia, z których wychodzimy, chwieją się pod nogami; niepewność i wątpliwości podkopują odwieczne fundamenta. To, cośmy dotąd poczytywali za rezultaty pozytywnego badania, okazuje się tylko wypływem apriodycznych przypuszczeń, głęboko zakorzenioną wiarą, a gdy strona najbardziej powołana i jej autorytet niweczy, cóż dziwnego, iż duszę opanowuje znużenie, iż nie czując gruntu pod stopami chwyta się ona innej, również hypatetycznej, ale słodszej i bardziej uspakajającej wiary...

Metafizyka! żachnie się niejeden z czytelników, i sądzi, że ta obelga zabija. A jednak metafizykę zabijają od wieków, począwszy od Sokratesa, a przecież ona żyje, jak długo w sercach żyje tęsknota i poczucie nieskończoności...

Obelga zresztą nie zabija; działo się to tylko za starych czasów, feudalno-rycerskich, albo za równie odległych od dzisiejszych pojęć czasów poezyi i dramaturgii romantycznej. Gdyby np. obelga zabijała, nie żyłby już potężny odłam narodu i parlamentu niemieckiego, należący do konserwatystów, zabitym i pogrzebanym byłby już pastor Stöcker, a wprost w stanie rozkładu trupiego znajdowałby się szlachetny baron Hammerstein. Ileż bowiem obelg, i to nawiasem mówią, zupełnie usprawiedliwionych, nie ciska im każdego dnia w twarz prasa t. zw. postępowa wszelkich odcieni!...

Całe dziennikarstwo tutejsze stało się wielką pralnią brudów prywatnych. I w czasie, kiedy ugrupowanie się stronnictw politycznych, będące wyrazem najbardziej piekących potrzeb i dążności ekonomicznych, przybiera kształty walki na noże, prasa zmienia się w trybunał św. inkwizycyi dla badania serc i nerek kilku zgnitych jednostek... Nie chcę rzucać inwektyw, ale miałbym ochotę świsnąć biczem krwawej satyry nad uchem augurów berlińskiego dziennikarstwa, którego naczelną zasadą jest: „Kryminał istnieje nie dla niebezpiecznych, lecz dla niezgrabnych złoczyńców“.

Theatrum! które chce być światem prawdziwym! Wolę ja już deski innej sceny, dokąd przychodzę bez złudzeń i faktycznie mam wrażenie, iż do dna duszy poznałem pewną grupę ludzką — także bez złudzeń. Taką sztuką teatralną bez illuzyi, niemiłosierną i poruszającą do głębi jest dramat *Jerzego Hirschfelda:* „Matki“.

Pierwsza ta premiera, którą przedstawił tutejszy "Deutsches Theater“, scena najgościnniejsza dla młodszych kierunków w sztuce. Grana przed kilku miesiącami na deskach „teatru ludowego“, sztuka Hirschfelda przemówiła obecnie do szerszej publiczności, wstrząsnęła i niezatarte zostawiła wrażenie.

Jestto rzecz na wskroś nowoczesna. Młody kompozytor, pełen nieokreślonego zapału i tęsknoty spotyka na drodze życia biedną robotnicę i dla niej wyrzeka się swoich bogatych rodziców, tradycyi, komfortu, otoczenia artystycznego, którego wrażliwa jego dusza potrzebowała, jako ryba wody. Pół-małżonka pracuje na niego, on sprzedaje swój talent, a dusza jego jeszcze więcej się łamie i rozstraja. Potem, gdy nadchodzi chwila, kiedy po śmierci ojca, matka woła go do siebie, kiedy ona i siostra chcą biedną robotnicę przyjąć w grono rodzinne,

kiedy ostatnia nareszcie zdobywa się na akt największej abnegacyi i rozwiązuje mu ręce, aby w odpowiedniej dla siebie atmosferze mógł talent swój rozwinąć — on nie może odzyskać lotu i złamany dekadent idzie dalej w świat...

Typ ten półgeniusza, pół bankruta, człowieka o najwyższych aspiracyach, który równocześnie bezwiednie siebie i świat okłamuje, typ ten pełen sprzeczności i oscylacyi, został przez *Hirschfelda* oddany z gorącem przejęciem. Z niepospolitym realizmem w psychologii i szczegółach zostało też odtworzone „milieu", w którym bohater się rozwija. Sto strun porusza on w sercu, a chociaż sztuka nie kończy się artystyczną harmonią, musimy w niej uznać cenny nabytek repertuaru, a w dwudziestodwuletnim autorze godnego towarzysza Halbeg'o i Wolzogena.

„Schiller - Theater" poczęstował nas inną sztuką, jakżeż mało „modern", a przecie odpowiadającą nastrojowi wielkiej części lepszej publiczności. *Ludwik Jakobowski* dał w komedyi „Digab der Narr" uscenizowanie starej powiastki o trzech braciach, z których dwaj byli mądrzy a trzeci . . . Trzeci był synem białej małżonki potężnego szeika na puszczy. Pogardzany i prześladowany przez braci z czarnych żon swego ojca, usunął się, udawał głuptasa i pasał owieczki. Dopiero gdy groźni nieprzyjaciele wpadli do małego państewka, a mądrzy bracia stchórzyli, on... on stał się zbawcą przybranej swej czarnej ojczyzny.

Pan *Jakobowski* jest żydem (pono z Gniezna), więc prasa chciała w sztuce jego widzieć jakiś symbol. Jak zawsze, widzi komentator to, o czem autorowi się nie śniło. Niczem więcej, niż udramatyzowaną bajką, autor nas nie obdarzył; ale jest w niej pewna świeżość i naiwność, jest wiersz dźwięczny i postacie wspaniałe, a wszystko to razem wzięte robi faktycznie wrażenie południowego spokoju wśród burz i walk „współczesnych", a wszystko to razem także zaspakaja pewien drzemiący w nas, dzisiaj tak rzadko zadawalany nerw.

Silne sensacye nerwowe z desek i bibuł, które mają świat przedstawiać, czekają nas dopiero po upływie kilku tygodni. Teatra zapowiadają nową sztukę filistersko-rewolucyjną *Sudermanna:* „Ciche szczęście" (Das Gluck im Winkel), tudzież trylogię historyczno-rewolucyjną *Hauptmanna* z czasów wojen chłopskich: „Floryarl Geyer". Z dzieł literackich oczekują pewne koła z naprężeniem powieści *Feliksa Hollaendera,* autora „Jesus und Judas", „Magdalena Dornis" etc., w której niema ani jednej postaci fikcyjnej, ani jednej intrygi zmyślonej. Tutejszy świat wysokich finansów i dziennikarski dostarczył modelów. Hollaender postawił sobie za zadanie w szeregu powieści zobrazować współczesny Berlin; talent obserwacyjny i czułość psychiczną posiada w niepospolitej mierze.

*Zastępca.*

# Z estrady i sceny.

(Uriel Acosta. — Dwa herby.)

Jest w Urielu Acoście jakiś czar magnetyczny; wieczystą wiosną dyszy ten utwór, i gdzie tylko w duszach ludzkich nie zamarły do szczętu iskry poezyi, tam gra potężnie i wstrząsa potężnie. Uriel bowiem to wcielenie wszechludzkiego i odwiecznego ideału sztuki, — to dzieło prometeizmu, to duch-rewolucyonista królujący po wszystkie wieki w dziedzinie poezyi. Niekiedy tłumią go przelotne prądy, ale gdy tylko geniusz uderza w struny, zawsze nieomal zmartwychwstaje w pieśni jego ten, co światło Bogom wykradał, — ten wiecznie szukający wróg formułek i dogmatów, wiecznie życiowe ramy rozpierający Tytan, wiecznie przeklinający dziś a szukający jutra reformator. I dla tego właśnie Uriel Acosta posiada urok wiosenny, mimo swego piętna romantycznej chwiejności, zamieniającej dęby w giętkie wierzbiny, i mimo pewnej nieudolności technicznej właściwej temu utworowi.

Jeżeli jednak dramat Gutzkowa niezmiennie utrzymuje się w repertuarze scen europejskich, to zaliczyć to musimy poniekąd i na karb tej okoliczności, że posiada on jedną z najefektowniejszych „ról" w literaturze dramatycznej. Ten przeklinany, wyszarpujący z głębin swej duszy odwołanie filozof, ten w proch powalony i z prochu powstający wróg talmudu, ten lew spętany, w krytycznej chwili zrywający więzy i rzucający pioruny ogniste w twarz zgrai rabinów, — to istotnie cytra potężna, na której artysta wyśpiewać może pieśń przedziwnej piękności. Ale niechaj nikt nie porywa się na „Uriela Acostę", kto oprócz inteligencyi i czucia artystycznego nie posiada siły pierwszorzędnej, bo cieniem będzie i pod stopami fanatycznego żydostwa zginie nie urosłszy w olbrzyma.

Czytelnicy nasi przypominają sobie zapewne jeszcze występy Żelazowskiego na poznańskiej scenie. Artysta ten rozumiał i odczuwał Uriela, gra jego była subtelną i głęboką, lecz żadna z tych zalet nie wydobyła iskry elektrycznej, wstrząsającej publiczność. Podziwialiśmy finezyę artysty, ale ten Uriel Żelazowskiego nas nie porywał i nie roznamiętniał. Nie było tam potęgi, — burza i muzyka gromów nie grała nam w czwartej odsłonie dramatu, a najsilniejsze momenty tragedyi ideowej ginęły — w szepcie piersiowym. Wspomnienie to prześladowało nas bezustannie w czwartkowy wieczór teatru naszego. Jest jednak ta różnica między grą pana Żelazowskiego a Skirmunta, że pierwszy z góry rezygnuje z efektów silnych, pojmuje rolę swoją refleksyjnie i zaczyna głosem bardzo słabym, ponieważ wie dobrze, że skala jego nie wysoka a stopniować musi bohater Gutzkowa, — drugi natomiast nie oblicza głosu, pragnie wyrzucić cały orkan namiętności z piersi skołatanej i w stanowczej chwili widzi się bezsilnym. Żal mi istotnie p. Skirmunta. On tego Uriela tak ukochał, tak subtelnie wycieniował, w taki aparat mistrzowskiej mimiki wyposażył, ale materyał głosowy jego za mały, by w grom się zamienić. I dla tego ten Uriel jego mimo najdelikatniejszych kresek i cieniów był czemś niedokończonem i urwanem, — jakąś tragiczną walką idei i formy. Mówią, że Michał Anioł, nie mogąc wydobyć z marmuru całej potęgi czucia swojego i myśli, młotem rozbijał oporny materyał, — podobne uczucia grać musiały w duszy p. Skirmunta. Czuł i myślał potężniej niż grał. Wicher szumiał mu w głębinach duszy, a słowa były wietrzykiem.

Odmienne wrażenie wywarła na mnie p. *Paszkowska* w roli Judyty. Gra tej artystki nie była może w szczegółach mimicznych dostatecznie wykończoną i plastyczną, ale ból i miłość płynęły tu jak strumień górski, rwąc i unosząc z sobą publiczność. W słowach jej drgała *cała* dusza i *cała* męka Judyty, a wspaniała scena aktu III, gdy Uriel idzie spełnić odwołanie, i ostatnie chwile konania były objawieniem wręcz niepospolitej siły dramatycznej. Panna Paszkowska nie posiada jeszcze stonowania barw psychologicznych i nieraz zgrzytnie dysonansem, oderwie niespodzianie dźwięk jakiś od zasadniczego koloru, ale instrument jej głosu brzmi przedziwną pełnią. I dla tego artystka ta najszczerszą i najsilniejszą była w takich chwilach, gdy po starciu kontrastów uczuciowych, po szamotaniu sprzecznych instynktów jedna namiętność brała górę nad nią i w orkan rozegrała jej duszę. Nie harmonia tonów i półtonów, lecz *wybuch* jest charakterystyczną cechą talentu p. Paszkowskiej.

Z innych artystów, biorących udział w „Urielu", zasługują na uznanie p. p. *Nowacki* i *Wostrowski.* Ben Akiba pierwszego był postacią stylową i pogłębioną, miał jednak chwilami dźwięki nadto młodzieńcze, — Ben Jochaj drugiego rozwinął dużo temperamentu i mimicznego artyzmu, ale zatracał piękność wiersza gorączkowem i wskutek tego niejasnem frazowaniem.

O sobotniej premierze, noszącej tytuł „Dwa herby", mało mam do powiedzenia. Znowu farsa i znowu spółka Blumenthal Comp. Kadelburg, — tylko, że najnowsze dziecię tego małżeństwa nosi jeszcze wyrazistsze cechy anemii, niż wystawiony przed trzema tygodniami „Pan Senator". Pomysł krotochwili to ograna kolizya dwóch światów: szlachectwa herbowego i szlachectwa pracy, pysznego potomka rycerzy średniowiecznych i amerykańskiego dorobkiewicza. Mniejsza jednak o staroświeczczyznę pomysłu, bo wielki talent sceniczny dobędzie nawet z ogranych motywów potężne dźwięki dramatyczne lub skąpane w porywającym humorze bawidełka. Ale faktura „Dwóch herbów", rozprowadzenie wątku intrygi i żywioł sytuacyjnego komizmu świadczą wymownie, że połączone kapitały talentu w spółce berlińskich farsistów niewielką tylko przedstawiają wartość. Utwór Blumenthala i Kadelburga przebiera nogami, ale nie rusza się z miejsca, i dopiero w akcie ostatnim wyłania się coś w rodzaju humorystycznego zawikłania. Zamiast akcyi postępującej, i plątaniny komicznej wypełniają treść sztuki kłótnie między potomkiem wielkich antenatów i amerykańskim rzeźnikiem. Jest tam wiele dowcipu, wykrojonego oczywiście z grubej materyi niemieckiej — ale, jak już w ocenie „Pana Senatora" zauważyłem, humor farsy nie jest humorem słów lecz humorem sytuacyi. A tego właśnie, z wyjątkiem ostatniego aktu, nie posiadają „Dwa herby".

Jeżeli jednak sobotnia premiera znudziła publiczność, to winien temu nietylko tasiemcowy i mdły charakter utworu, lecz w równym nieomal stopniu niezwykłe, nawet w naszych dziejach teatralnych, partactwo oddania. Jak to się wszystko żółwim snuło krokiem, jak rwało i haczyło, jak ciężko sapało i wytężonym słuchem chwytało szepty suflera, to istotnie najprzykrzejsze wywierało wrażenia. I nie pomógł tu brawurowy komizm p. *Knapczyńskiego,* ani charakterystyczna i wyrazista, lubo chwiejna gra p. *Łaskiego,* ani swoboda p. *Wostrowskiego,* — sztuka wywierała wrażenie ciężkiego wozu, sunącego po bruku. Najefektowniejsze momenty ginęły, — bladły najpiękniejsze barwy.

Wobec takiego niedbalstwa i rażącej niepewności wyrzekam się dokładniejszej oceny poszczególnych artystów, — zwracam tylko uwagę p. *Wostrowskiemu,* że niepotrzebnie ubrał rolę swoją w zalękniony ambaras nieśmiałego młodzieniaszka. Mylna ta interpretacya obniżyła nieco wartość gry, niepozbawionej zresztą właściwej temu zdolnemu artyście ruchliwości.

*W. R.*

# NA WYŁOMIE.

(List kapłana.)

Od jednego z starszych kapłanów zaboru pruskiego otrzymaliśmy w początku bieżącego tygodnia list nader interesujący, dotyczący stanowiska duchowieństwa do polityki „Kuryera Poznańskiego". Ze względu na doniosłość dokumentu tego wystosowaliśmy natychmiast listowne zapytanie, czy autor szanowny zezwala na ogłoszenie listu w łamach „Przeglądu", a gdy poczta przyniosła nam upragnione pełnomocnictwo z tym jedynym warunkiem, by nazwisko autora pozostało w osłonie tajemnicy, podajemy niniejszem pismo zasłużonego kapłana *in extenso* czytelnikom naszym:

Szanowny Panie Redaktorze!

Od samego początku istnienia „Przeglądu" abonuję to pismo i czytuję je — że się tak wyrażę — od deski do deski. Nie powiem aby wasze naukowe poglądy, wyssane z doktryn pozytywizmu i te nowe kierunki literackie, którym głos tak chętnie dajecie, — zdobyły sobie uznanie moje, ale przyznaję wam chętnie, że nasuwacie mi wiele myśli, któremi zaludnia się pusta plebania moja. Wychowałem się w innych czasach i wyrobiłem sobie inne wierzenia, z któremi się pewno już nie rozstanę aż do grobu... Ale sprzeczać się z wami o to nie będę, bo zasypalibyście mnie takim nawałem erudycyi, że moja stara zmęczona głowa wązym świeżym i niestrudzonym umysłom nie sprosta. Chciałem dziś pomówić z wami o innych sprawach, a mianowicie prosić was, byście przestali określać „Kuryera Poznań-

skiego“ jako „organ duchowieństwa“, — bo określenie to uważam za fałszywe i dla sprawy narodowej szkodliwe. Nie przeczę, że „Kuryer“ od początku istnienia swojego opierał się na podatkach, ściąganych z duchowieństwa, i dopiero w najświeższym czasie otrzymawszy stałą subwencyą w formie rozmaitych obstalunków na druki konsystorskie i arcypasterskie, a mianowicie przez ofiarowany mu druk „Przewodnika katolickiego“ tak naprawił finanse swoje, że o własnych siłach pracować zaczyna, — ale wierzcie mi, że większa część duchowieństwa dla tego płaciła, że płacić *musiała*. Nie przyznaję z tego powodu nikomu prawa mianować „Kuryera“ organem duchowieństwa, bo tam, gdzie składka ma w tej czy owej formie charakter przymusowy, dziennik nie jest tłomaczem składkujących, lecz narzuconym ciężarem. Nie chcę jednak twierdzić, aby pismo to nie miało zwolenników wśród duchowieństwa prowincyi naszych. Owszem znam kapłanów wierzących ślepo tym nowym prądom panów Kościelskich i Komierowskich, znam nawet takich, którym osławione powinszowanie w dzień cesarskich urodzin podobało się wielce, — ale są to przedewszystkiem żywioły młodsze, uniesione wiatrem wiejącym z góry i spekulujące taką służbą polityczną na karyerę. My starsi kapłani, wyrośli „aniż chleba ani z soli ale z tego co nas boli“, charakteru narodowego nie zatracimy nigdy, choćby nam prawiło dziesięć „Kuryerów“, że król pruski mylić się nie może, bo w tytule nosi słowa „z łaski Bożej“, choćby nam tysiąc razy wołano: „Przy tobie najjaśniejszy panie stoimy i stać chcemy“, i choćby uczono nas tej nowej wiary, co to sprawom katolicyzmu służyć, lecz o ojczyźnie zapominać każe. Kto naukę Chrystusa głębiej kocha — czy my starej szkoły kapłani, czy też nowi lojaliści, — o tem na sądzie ostatecznym Bóg przedwieczny rozsądzi, ale zdaje mi się, że Ten, z którego wszechmocy wszystko, a więc i ojczyzna pochodzi, gniewać się o to nie może, jeżeli na sprawy narodowe nie *„przez pryzmat wyłącznie katolicki“*, lecz w równej mierze *przez pryzmat polski* spoglądać będziemy.

Więc — proszę was — skończcie już z tym „organem duchowieństwa“, bo „Kuryer“ tylko jedną cząstkę katolickiego kleru reprezentuje. Jest to po polsku redagowana „Germania“ lub „Schlesische Volkszeitung“ i nic więcej, a na taką reprezentacyę ani ja, ani setki konfratrów moich zgodzić się nie możemy. Wprawdzie zaryglowano nam usta i walczyć publicznie z tym — jak wy to mówicie — „lojalnym ładem i porządkiem“ niebezpiecznie, ale w głębinach duszy wielu z nas ma tylko wstręt dla Kuryerowych dyplomatów. Nie sądźcie też, że my solidaryzujemy się z tą od ś. p. ks. Stagraczyńskiego zapożyczoną taktyką „Kuryera“, ciskającą kamieniami najgrubszego gatunku na każdego człowieka innych przekonań, bo prawdziwy sługa Chrystusa nieuczciwej broni pochwalać nie może. Że tam jeden i drugi ksiądz raduje się z Kuryerowej kartaczownicy a przy okazyi sam, jak w Inowrocławiu, kartaczami ciska, to dziwić się temu nie można. Roznamiętniono ich sztucznie, a co młode, to bić się lubi, — zresztą i wśród najfanatyczniejszych junaków budzić się zaczyna opozycya przeciw redaktorskim kalumniom i napaściom. I tu zatem niesłusznem jest utożsamiać duchowieństwo z „Kuryerem“, a takie wmawianie w ludzi, że służą „Kuryerowi“, może stać się niebezpieczną „sugestyą“, o której wy młodzi tak wiele prawicie. Czytujemy i abonujemy „Kuryera“, — to prawda, — bo o stosunkach Kościoła dokładnie nas informuje, a sumiennego kapłana sprawy takie interesować muszą, lecz w sprawach narodowej polityki połowa duchowieństwa do innego należy obozu. „Kuryer“ jest sobie „Kuryerem“, lecz organem duchowieństwa nie jest.

Przyjm Szanowny Panie Redaktorze wyrazy prawdziwego szacunku.

*Ks. X.*

Na zapytanie nasze w sprawie publikacyi listu powyższego otrzymaliśmy odpowiedź następującą:

Szanowny Panie Redaktorze!

Jeżeli publikacya mojego listu sprawie przysłużyć się może, to z chęcią na ogłoszenie się zgadzam. Proszę jednak nazwisko moje w ścisłej zachować tajemnicy, bo za stary jestem, aby walkę podejmować z władzą, — a walka ta nie ominęłaby mnie z pewnością i zgotowałaby mi niezawodnie miano burzyciela i wichrzyciela. Znając stosunki dokładnie, zrozumiecie skrupuły moje. Polecam was Bogu.

Sługa w Chrystusie

*Ks. X.*

Podając listy powyższe do wiadomości ogółu, poczuwamy się do obowiązku nadmienić, że miano „organu duchowieństwa“ od lat już wielu ma kurs w prasie poznańskiej, a żaden z kapłanów dotychczas przeciw słuszności takiego określenia nie zaprotestował. Nadomiar „Kuryer Poznański“ w odezwach swoich abonamentowych i w artykułach polemicznych tak się wyrażał, że utwierdzał opinię w przekonaniu, jakoby przysługiwało mu prawo uważania się za wyraz przekonań, dominujących w szeregach duchowieństwa naszego. Jeżeli nadto uwzględnimy i tę okoliczność, że w czasie ostatnich bojów politycznych kapłani wszędzie reprezentowali kierunek Kuryerowy i z godnym lepszej sprawy fanatyzmem starali się zdusić każde dążenie odmiennej barwy, to nikt dziwić nam się nie może, że zamiast wystąpić przeciw tytułowi „organ duchowieństwa“, otworzyliśmy dłań na roścież bramy „Przeglądu“. Bądź co bądź z radością witamy wiadomość, że w łonie duchowieństwa naszego drzemie płomień buntu przeciw komendzie Kuryerowej i marszałkom prusofilstwa naszego. Narodowemu odłamowi kleru polskiego przesyłamy wyrazy czci najgłębszej i serdecznej sympatyi, lecz równocześnie budzą się w duszy naszej trwożne przeczucia i trwożne pytanie: Jakież będzie jutro narodu, jeżeli młodsze duchowieństwo służy Kuryerowym Bogom?

*Sulla.*

## KRONIKA LITERACKA.

*Pogląd na dawniejszą literaturę rolniczą polską.* Pod tym tytułem wygłosił p. dr. T. Jackowski odczyt na walnem zebraniu Towarzystwa gospodarczego w W. Ks. Poznańskiem dnia 14go marca 1893. Odczyt ten wydrukowano w „Ziemianinie“, a obecnie wydano w osobnej odbitce. Zasługą p. Jackowskiego jest, że poruszył ten temat, i praca jego może zająć wykształconych rolników, jednakże jako praca naukowa grzeszy stanowczo wielką niedokładnością, o czem przekonywa rzut oka do katalogu jakiejkolwiek biblioteki zamożniejszej, a nawet „Encyklopedya rolnicza“, wydawana w Warszawie, zawiera materyał obfitszy. Przytem nie możemy zgodzić się ze zdaniem autora, że „zadaniem Towarzystwa rolniczego... może być jedynie ocena dzieł tych pod względem ich zawodowej, gospodarskiej treści...“ Sądzimy, że zadaniem autora piszącego dla rolników o literaturze rolniczej byłoby zapewne także wskazanie zależności pomiędzy ogólnemi warunkami społecznemi a produkcyą rolniczą. Tak n. p. w literaturze wieku XVIII występuje bardzo wyraźnie pogląd, że wprowadzeniu racyonalniejszego gospodarstwa staje na przeszkodzie pańszczyźniana praca itd. Zresztą sam autor potrąca o to, wykazując n. p., że w dawniejszej Polsce tuczenie umiejętne nie mogło mieć miejsca z powodu taniości mięsa. — Naturalnie nie robimy zarzutu autorowi, z pominięcia tej strony kwestyi, chcielibyśmy jedynie zwrócić na nią uwagę tych, którzy zechcą pójść jego śladem, a nie wątpimy, że tacy się znajdą, bo temat jest ciekawy.

*M.*

* * *

*Znaczenie i rozwój przemysłu domowego i handlu ludowego.* Odczyt dr. Z. Celichowskiego na zjeździe przemysłowców w Poznaniu. Poznań 1895.

Autor szanowny zaznacza na wstępie, że podjął się odczytu przedewszystkiem dla tego, że „prawdę, która ma wniknąć w samowiedzę ludu, należy bezustannie powtarzać przynajmniej przez 25 lat“. W każdym razie, nietylko przypomniał on społeczeństwu sprawę ważną przemysłu domowego, ale zarazem dał mu cenną, treściwą książeczkę w tej sprawie, którą gorąco czytelnikom naszym polecamy.

Zgodnie z peszteńskim kongresem statystycznym z r. 1875 autor przyjmuje trzy stopnie rozwoju przemysłu domowego:

1) pracę w łonie rodziny, poza głównem zawodowem zajęciem, na zaspokojenie własnych potrzeb;

2) przemysł domowy, pracujący już w celach handlowo-zarobkowych obok głównego zajęcia, mianowicie rolniczego;

3) wyłączne wykonywanie wyrobów przemysłowych w celach handlowych, już to na rachunek przedsiębiorcy, czy fabrykanta, już to w celach eksportu na własny rachunek przez domokrążenie.

Opisuje następnie o ile te trzy rodzaje rozwinęły się w Polsce, podając przytem wiele ciekawych faktów, po które odsyłamy czytelników do broszury.

Przechodząc do stosunków wielkopolskich w szczególe, autor wykazuje, że trzeciego stopnia przemysłu domowego tu niema jeszcze i zaznacza również, że nawet nie jest to pożądany stan. Pamiętajmy o tem, powiada, że w licznych przypadkach, a pewnie w przeważnej części, ludność zajmująca się przemysłem domowem na jego trzecim stopniu rozwoju nie żyje w bardzo pomyślnych warunkach, że owszem cierpi biedę i nędzę. Natomiast zachęca p. Celichowski do popierania dwóch pierwszych form przemysłu domowego, ponieważ te zatrudnienia mogą przysporzyć grosza naszemu ludowi, zapełniając czas wolny od zajęć rolniczych. Dla ożywienia więc ruchu w tym kierunku, autor poleca: 1) urządzić wystawę wyrobów domowego przemysłu wszystkich kółek rolniczych lub nawet ogólną wystawę tego rodzaju; 2) dla ulepszenia wyrobu korzystanie z istniejących szkółek zręczności, a gdzie ich niema dotąd wprowadzanie ich w życie; 3) założenie bazaru krajowych wyrobów, gdzieby każdy, produkujący jakiekolwiek wyroby domowego przemysłu mógł składać takowe w komis celem sprzedaży na wzór takiegoż bazaru w Krakowie i Lwowie. 4) Celem założenia takiego bazaru należałoby zawiązać albo towarzystwo popierania przemysłu domowego albo Spółkę zarobkową z ograniczoną poręką, z udziałem choćby 50 marek. Dodaje wszelako autor: „Wszelkie jednakże usiłowania, podejmowane w celu podniesienia przemysłu domowego nie odniosą pożądanego skutku, jeżeli całe społeczeństwo nie przejmie się zasadą „popierajmy przemysł domowy!“ Mamy pretensyą, że jesteśmy narodem odznaczającym się miłością ojczyzny, ale w tym kierunku uczmy się patryotyzmu od Węgrów i Czechów. Narody te pokazały, do jakiego stopnia rozwoju można doprowadzić przemysł rodzimy, jeżeli całe społeczeństwo solidarnie i energicznie weźmie się do dzieła. Przekonanie to powinno jednakże przeniknąć wszystkie warstwy narodu, od wspaniałych pałaców do najuboższej chaty.

Co do handlu ludowego autor zaznacza, że zakładanie handli po wsiach nie jest bardzo pożądanem. Nasze wsie nie są zbyt ludne, miasteczka są gęsto rozsiane, a co najgorsza, że takie sklepiki wiejskie rozpoczynają często od handlu towarami kolonialnemi i łokciowemi, przechodzą następnie do handlu piwem, a kończą handlem wódki i szynkiem otwartym lub tajemnym.

*M.*

* * *

*Prof. Ludwik Gumplowicz* zamieścił świeżo w „Revue internationale de Sociologie“ artykuł pod tyt. „Mouvemant social en Autriche, la Question Polonaise“. Autor zastanawia się tam głównie nad znaczeniem wystawy lwowskiej, uważając ją jako objaw wskazujący, „że Polacy zwracają swe usiłowania do odrodzenia i przemiany wewnętrznej narodu“. Na tę wystawę złożyły się „zgromadzone wytwory pracy narodowej, pokazując, że szczególnie Galicya zrobiła

ogromne postępy we wszystkich kierunkach życia ekonomicznego i przemysłowego, jako też, że na polu pracy umysłowej i administracyjnej, oraz organizacyjnej niezmiernie wiele dokonano". „Sam cesarz Austryi, wiedząc, że Polacy dzisiejsi w Galicyi umieją łączyć swoje nadzieje z lojalnością wobec dynastyi Habsburgów, wypowiedział we Lwowie te słowa pełne znaczenia: „Panowie, rozumiemy się nawzajem". Przewodnią myślą artykulu jest, że „największa odwaga i waleczność jednorazowa nie zbawią narodu, który nie nabrał hartu i żywotności w codziennej walce życia".

* * *

*Maurycy Zych.* „Rozdzióbią nas kruki, wrony". Obrazki z ziemi mogił i krzyżów. Kraków. L. Zwoliński i Sp. 1895.

Maurycy Zych (pseudonim) zapisany głęboko w pamięci czytelników naszych utworami „Mogiła" i „Rozdzióbią nas kruki, wrony", ogłosił w Krakowie cały zbiór przedziwnie pięknych obrazów powieściowych. Zanim tej książce, która jest jednem z najwybitniejszych zjawisk w dziedzinie nowoczesnej literatury, poświęcimy szerszą i głębszą ocenę, podajemy poniżej literacką notatkę „Przeglądu Wszechpolskiego":

„Na tom złożyło się siedem oddzielnych utworów, z których pierwszy nosi tytuł, położony na okładce całego tomu, tytuły zaś pozostałych brzmią: „Mogiła", „Źródło", „Niedobitek", „W sidłach niedoli", „Poganin", „Do swego Boga". Wszystko to są obrazki z życia zaboru rosyjskiego, „z ziemi mogił i krzyżów". Są to rzeczy współczesne, za temat im posłużyło życie najświeższej doby, i ta współczesność jest jednem z wybitnych znamion wszystkich utworów, nie wyłączając pierwszego obrazka, dla którego za tło, za plan dalszy, posłużyła chwila upadku ostatniego powstania. Autor nie daje pełnych obrazów, ale chwyta pojedyńcze rysy życia, sięgając do sfer rozmaitych, bardzo od siebie odległych. Są tam i urzędnicy powiatowi, i zakrzepła umysłowo szlachta wioskowa, i młodzieniec ze zwichniętą karyerą, ostatni nędzarz z aspiracyami do wyższej stopy życiowej i stary niedobitek z epoki wielkich porywów, były zesłaniec za powstanie, student, młody rewolucyonista, więzień dziesiątego pawilonu i... chłop, chłop podlaski, na którego grzbiecie nie zatarły się jeszcze blizny z okresu prawosławnego apostolstwa, sceptyk, mający żal do tej wiary, za którą tyle męczarni przeszedł, albo niezłomny wyznawca, uciekający od rządowej religii „do swego Boga". Wszystkie te obrazki narzucone są barwami ciemnemi, koloryt ich jest smutny, rozdzierająco smutny. Przez ten smutek wije się tu i owdzie nić goryczy, miejscami przyprawnej czemś w rodzaju cynizmu. Cynizm ten jednak niewinny — to coś sztucznego i powierzchownego, obcego temu głębokiemu „ja", które siedzi na dnie duszy i porusza całą istotą autora. Czasami przepada on gdzieś zupełnie, i pozostaje czysty, nieukrywany smutek. Niepodzielnie on panuje w kilku drobnych obrazkach, jak „Rozdzióbią nas kruki, wrony", „Poganin", „Do swego Boga", będących istnemi arcydziełami, nie powiem, perłami literatury, bo słuszniej im się pierwsze miano należy. Ale smutek ten, pomimo całej swej głębi, nie jest beznadziejny. Pod przygniatającą wszystko ławą zła miejscami uwydatnia się jakaś silna moralnie istota, nie dająca się ugiąć. Silnie zwłaszcza występuje ten rys, gdy autor zbliża się do ludu. Sam on go podkreśla, kładąc na czele książki motto: „A po długiem męczeństwie zorzę rozwiodę nad wami — udaruję was szczęściem i tem, co obiecałem ludziom na szczycie Golgoty — wolnością".

* * *

*Nowy „poeta".* Mamy nowego poetę w osobie p. Teodora Smolarza, a co ważniejsza — poetę, który nie idzie śladem większości naszych najmłodszych wieszczów i nie daje nam w lilipucich dozach odpadków swego natchnienia, lecz występuje od razu z poematem.

A nosi ten poemat tytuł „W Ojcowie". Dla czego w Ojcowie, zgadnąć trudno, bo mogłoby być tak samo w Wojce, w Drwinowie, lub w Popieliszkach. Chyba dla tego, że poemat jest djablo romantyczny, a więc i scena przedstawiać powinna okolicę romantyczną.

Był sobie jakiś Cezar, który miał przyjaciela Konrada, a ten był dręczony pragnieniem mamony. Konrad opuścił kraj, a tymczasem w sercu Cezara zostało ku kobiecie uczucie miłości, „aż stało się wulkanem, żarem buchającym". Kobieto! — woła poeta —

ta miłość ku tobie, jak ty, z piekła rodem!
Kto kocha całem sercem namiętnie, ten wrzodem
Śmiertelnym jest zatruty...

Ideałem Konrada była Marya; „ciało miała anioła, a duszę poczwary". Kiedy Cezar i Marya przykładnie się pobrali i spędzali miodowe miesiące, powrócił Konrad, jako „żebrak schorzały". Cezar przyjął go serdecznie, a Konrad wkrótce trzymał w swych objęciach „ciało anioła z duszą poczwary". Kiedy Cezar raz zastał ich „w ciemności altany", czekał, czy na niebie nie ukażą się błyskawice, czy sklepienie niebios „swemi gruzami nie zasypie ohydnych", a potem

spojrzał w ziemię okiem rozwścieklonem
Zdolnem ją wstrzymać w ruchu odwiecznie wdrożonym.

Ale jakoś ziemia się nie zatrzymała, a więc Cezar wpadł do altany, chwycił Maryę za gardło i zadusił. To uczyniwszy, podczas wichru, czarnych tumanów kurzu, syczenia błyskawic, znalazł się przy skale około drogi. Błyskawice pobladły, księżyc błysnął, słowiczek smętnie nucił, a Cezar wciąż stał przy skale około drogi. Coś zatętniało — ukazał się rumak, a na nim Konrad. Błysło, huk się rozległ, jeździec we krwi leżał na drodze. Koń, nie głupi przypatrywać się takim okropnościom, umknął, a Cezar „kopnął trupa nogą", przeleżał się na murawie, ptaszka, co z gniazdka wypadł, ostrożnie zaniósł na swoje miejsce, później całował jakiś kawałek wstążki, aż go cisnął i podeptał nogami, wreszcie „zimny pistolet przyłożył do skroni". Zbroczonego krwią znalazł pustelnik i tłómaczył mu, że niezadługo „musi złożyć z życia sprawozdanie". Cezar na to opowiedział mu historyę swojego życia i oświadczywszy, że „niema Boga i niema wieczności", wziął i umarł.

Taką jest treść najnowszego poematu, który czy wzbogaci literaturę, pozostawmy do ocenienia naszym krytykom. *K. B.*

* * *

*Zdanie Emila Zoli o Napoleonie III.* Niedawno w Brukseli obradował kongres ligi pokoju, w Niemczech odbywały się uroczyste obchody dwudziestopięciolecia zwycięzkiej nad Francyą kampanii 1870 r., w Paryżu zaś prasa porusza dziś jeszcze bolesne wspomnienia owej straszliwej katastrofy, zakończonej oderwaniem dwóch francuzkich prowincyi Alzacyi i Lotaryngii, oraz haraczem pięciu miliardów franków. Dziennik „Le Gaulois" z powodu 25-lecia wojny francuzko-niemieckiej, wysłał jednego ze swych redaktorów do autora „Pogromu" (Débâcle) z zapytaniem, jaka jest jego opinia o Napoleonie III? Emil Zola odpowiedział: „Inaczej dziś sądzę Napoleona III, aniżeli za czasów mej młodości. Wzrosłem w epoce, gdy Wiktor Hugo ciskał gromy na „Małego Napoleona" (Napoleon le Petit), a książka ta wówczas była dla mnie historyczną prawdą. Napoleon III w innym utworze Wiktora Hugo „Les Châtiments", przedstawiony w postaci potwora, dziś wydaje mi się tylko komicznym, skutkiem olbrzymiej przesady, z jaką poeta go przekazał. Zmieniłem mój pogląd przy ściślejszem badaniu dziejów trzeciego cesarstwa. Któż bowiem wykonał zamach stanu 1852 roku? Czy książę Ludwik-Napoleon? — Nie. Dokonali go Morny, Saint-Arnaup, Magnan, czyli najbliższe otoczenie księcia-prezydenta Rzeczypospolitej francuzkiej. Ludwik Napoleon był marzycielem, lecz nigdy nie był człowiekiem czynu. Był on sentymentalnym fatalistą, wierzącym w swoją gwiazdę, szedł zapatrzony w nią, dając się skutkiem tego nieść fali wypadków, ze spokojem i ufnością. Wierny wierze w swoją gwiazdę, dopełniał losu swego przeznaczenia, aż do kresu, zakończonego otchłanią krwi pod Sedanem. Indywidualnie, cóż można zarzucać temu człowiekowi, pełnemu mistycyzmu i chimerycznych marzeń? Mówi się wiele o marnotrawieniu publicznego skarbu podczas jego rządów! Lecz czyż to złoto osiadało w kieszeni Napoleona III? Mówi się o potokach krwi wówczas wylanej. Lecz czyż jego należy czynić odpowiedzialnym? Byłem i jestem republikaninem, zatem sąd mój nie może być podejrzanym o imperyalistyczną partyjność i jeżeli pobłażliwy jestem dla Napoleona III jako dla człowieka, surowiej go sądzę jako głowę państwa. Człowiek jest mi sympatyczny, zaś rządy trzeciego cesarstwa przeciwnie.

# KRONIKA POWSZECHNA.

* **Wiadomości społeczne i polityczne.** Otwarcie gimnazyum Cieszyńskiego odbyło się 10-go października. Redakcya nasza wysłała depeszę gratulacyjną. — Francuzi zdobyli stolicę Madagaskaru. Wojna zbliża się ku końcowi. — Ojciec św. wystosował do sekretarza stanu, ks. kardynała Rampolli, pismo, protestujące przeciw aneksyi Rzymu i domagające się przywrócenia papieżom władzy świeckiej. — Zatarg między armeńską i turecką ludnością przybiera w Carogrodzie coraz większe rozmiary. Rozruchy przeniosły się na prowincyę. — W górnoszląskim okręgu pszczyńsko-rybnickim mianowano ze strony polskiej kandydatem do parlamentu niemieckiego p. mecenasa **Radwańskiego**, którego kandydatury przy wyborach do sejmu przeprowadzić się nie udało. — Sejmowi pruskiemu przedłoży rząd w najbliższym czasie nowy projekt do prawa o stowarzyszeniach. Będzie to podobno echo ś. p. ustawy przewrotowej. — Według doniesień biura Wolffa uchwalono podobno na radzie nowego gabinetu austryackiego zniesienie stanu wyjątkowego w Pradze.

* **Teatr i muzyka.** W dniu 19 i 20 b. m. odbędą się jubileuszowe uroczystości założenia teatru poznańskiego. W uroczystościach tych wezmą udział delegaci wszystkich towarzystw poznańskich oraz reprezentanci innych teatrów polskich i czeskich. W sobotni wieczór jubileuszowy scena nasza wystawi „Śluby panieńskie". Program zawiera oprócz tego przemówienia różnych delegatów i występ „Koła Śpiewackiego". W niedzielny wieczór koncertować będzie kapela sokolska w mundurach. — Nowości teatru niemieckiego: „Ależ to małżeństwo" Linsemanna, „Ojciec kruków" anonimowego autora, „Przy granicznym kamieniu czasu" Weisera, tragedya z czasów Nerona, „Victoria", dramat Bluthaupta. — Janowski, były dyrektor teatru łódzkiego, zamierza z trupą swoją wyjechać na stały pobyt do Odesy. — W stanisławowskim teatrze występuje na przemian towarzystwo operetkowe Myszkowskiego i towarzystwo dramatyczne Antoniewskiego. — Prolog na uroczystość jubileuszową teatru poznańskiego nadesłał p. Wł. Bełza. — Opera warszawska zaangażowała na występy gościnne p. Warmutha i p. Camilową — W teatrze lwowskim święci tryumfy kasowe krotochwila pod tytułem „Pan Bigelhoffer". — S t a r a s z t u c z k a. W „Teatro nuovo" w Neapolu ogłoszono niedawno pierwsze przedstawienie nowej farsy panów Bluma i Toché. Na afiszach u spodu znalazło się ostrzeżenie tej treści: „Dyrektor teatru uważa za obowiązek zwrócić uwagę publiczności, że treść sztuki jest dosyć swobodna i nie kwalifikuje się dla młodych dam". Afisz zrobił swoje, teatr był przepełniony".

# BIBLIOGRAFIA.

**Dzieje powszechne ilustrowane.** Tom III. Wiedeń, 1895.

# Odpowiedzi Redakcyi.

**Życzliwej.** Dziękujemy za wycinek. Niechaj to Panią nie dziwi, że „Kuryer Pozn." wysyła nas do akademi smorgońskiej. On tam był i dla tego wyświadcza społeczeństwu n i e d ź w i e d z i e p r z y s ł u g i.

**Samoukowi.** Owo „tire aux pigeons" jest zabytkiem średniowiecznym. Szlachcic francuskiej przysługiwało swojego czasu wyłączne prawo strzelania do gołębi. W Polsce przywilej ten nigdy nie egzystował.

# Składki.

**Na fundusz konkursowy w sprawie dzieła o Karolu Marcinkowskim** złożyli:

| | |
|---|---|
| Pan dr. St. | 2,00 mrk. |
| Pan dr. Z. | 1,00 „ |
| Pan Gr. | 2,00 „ |
| Pan F. Fr. | 2,00 „ |
| Pan P. | 0,50 „ |
| Razem | 7,50 mrk. |

Ogółem zebraliśmy dotychczas 768,90 mrk.

**O dalsze składki prosimy gorąco.**

**Na rzecz „Tow. Pomocy naukowej dla dziewcząt polskich"** złożyli:
Pani Stanisława Sobecka 3,00 mrk.
Pan Roman Lewandowski z Wiednia 1,20 mrk.
Razem 4,20 mrk.
Ogółem zebraliśmy dotychczas 34,20 mrk.
Zachęcamy serdecznie do dalszych składek ze względu na humanitarny i narodowy cel tej instytucyi.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Kazimierz Hojnacki z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego". Czcionkami W. Simona w Poznaniu.